

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 kwietnia 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
43 NUMER PISMA

Sygnaly

dwutygodnik • sprawy społeczne • literatura • sztuka.

LEON KRUCZKOWSKI

WZDŁUŻ, NIE WPOPRAZEK DZIEJÓW

I

Nie ulega wątpliwości, że w pewnych środowiskach współczesnego życia polityczno-ideowego bardzo wydatną rolę odgrywa swoista propaganda, którą możnaby określić mianem demagogii młodzieżowej. Z niej to wywodzi się modny obecnie frazes „dynamizmu“, ona to, operując hasłami przeróżnych „buntów młodych“, próbuje narzucić społeczeństwu — w miejsce istotnych, nurtujących je zmagani i konfliktów — najdonioślejszy jakoby ze wszystkich rzekomy „konflikt pokoleń“. Przeciwstawienie: „młodzi“ — „starzy“ stało się od samego urodzenia ruchów faszystowskich ulubioną tych ruchów formułą ideologiczną. Hitlerowcy, wierni swej narodowej ncoście: niemieckiej pedanterji, zdolali już nawet stworzyć osobną „naucę o pokoleniach“ („Generationslehre“), wraz z obfitą i odpowiednio mozolną literaturą „fachową“. Także u nas niemało zużyto już papieru na dowodzenie różnych, przygodnie lub systematycznie objawianych, „prawd młodego pokolenia“.

W zasadzie zjawisko samo w sobie nie jest zupełną nowością. Bodaj od początków XIX wieku hasło „walki pokoleń“ słyszeć się daje w Europie mniej więcej raz na trzydzieści lat, na arenach życia zarówno społeczno-politycznego, jak i kulturalno-artystycznego. Nigdy jednak nie rozbrzmiewało ono równie jaskrawo i hałaśliwie, jak obecnie. Nigdy nie bywało tak namiętnie czy natrętnie „lansowane“ i propagowane, jak właśnie w czasach dzisiejszych. W czasach — dodajmy — w których niesłychanie ostre tempo życia liczyć pozwala już nie na lata, lecz na miesiące i tygodnie; w czasach więc wybitnie nieprzychylnych dla procesów krystalizacyjnych; w czasach, w których coraz niewdzięczniejszym zadaniem staje się wyznaczanie jakichkolwiek „linij podziału“, bo wyznaczone dzisiaj — jutro bywają już nieistotne i nieważne. Ta okoliczność, rzecz prosta, nadaje współczesnemu hasłu „walki pokoleń“ charakter mocno paradoksalny. Iluż to, choćby u nas, solidnych panów w wieku „czterdziestki“ i wyżej, zabawia się i zachłystuje demagogią „młodzieżową“, nie sobie zgoła nie robiąc z śmieszności własnej sytuacji... Niemniej, skoro już uszczęśliwiono nas tą, ze wszystkich możliwych najtańszą i... najżyłkowniejszą demagogią, nie od rzeczy będzie może zastanowić się nad kwestją, czy naprawdę w przeciwstawieniu: „młodzi“ — „starzy“ wyraża się formuła jakiegoś rzeczywistego konfliktu; konfliktu, który (jak to wprawiają nam nieraz), mógłby rościć pretensję do — programowości.

Czem właściwie jest „pokolenie“? Przedewszystkiem, oczywiście, formacją biologiczną. Pod tym względem różni się ono zasadniczo od wszystkich innych w zbiorowości ludzkiej występujących formacji o charakterze społeczno-cywilizacyjnym, takich, jak: naród, klasa, grupa wyznaniowa, partja polityczna. W istocie swojej dzielenie ludzi podług różnicy wieku należy do kategorii podziałów tej samej, co n. p. podział na blondynów i brunetów, szczupłych i tegich, wysokich i niskich. Nie znaczy to jednakże, jakoby różnica wieku stanowiła tylko tak proste i tak pod względem społecznym neutralne kryterjum, jak różnice wzrostu czy barwy włosów. Rytm pokoleń nie jest sprawą wyłącznie przyrodniczą, ma on — w pewnych granicach — swoją treść i znaczenie społeczne.

Czynnikami spajającym pokolenie jest, prócz wspólności dat metrykalnych, również tożsamość warunków i przeżyć historycznych, w jakich ono wzrasta, tożsamość atmosfery cywilizacyjnej, w jakiej przechodzi mu oddychać. Nic nie łączy ze sobą blondynów dlatego tylko, że są blondyna-

mi, natomiast między ludźmi jednej generacji istnieje pewne powiązanie, wynikające właśnie z owych wspólnych przeżyć i owej tożsamości atmosfery. Naturalnie, „wspólność przeżycia historycznego“ nie oznacza bynajmniej identyczności reakcji psychicznej na przeżywane zdarzenia, sprawdza się ona jedynie do równoczesnego, choć pod względem emocjonalnym zróżnicowanego, uczestnictwa w tych samych faktach dziejowych.

Jakkolwiek chcielibyśmy oceniać zakres i spoiłość określonego wyżej powiązania „pokoleniowego“, jedno przecie jest zupełnie pewne: oto nie może ono — nie jest w stanie — przekreślić tych wszystkich, istotnych linii konfliktów, jakie wynikają z samej struktury ludzkiego społeczeństwa. Te ostatnie, konflikty n. p. społeczne czy narodowościowe, mają żywotność i ciągłość znacznie przewyższającą okres życia jednego pokolenia. Przebiegają one wzdłuż całych epok historycznych i w każdej z następujących po sobie generacji odciskają swój rysunek. Podług tego to rysunku grupują się zespoły ludzkie na podstawie takich lub innych, wspólnych i scalających je odczuwań czy wierzeń.

Otóż takie istotne scalanie się grup i zespołów, walczących o pewne cele ogólnejsze, w najmniejszym właśnie stopniu możliwe jest na podstawie wspólności — dat metrykalnych. Biologiczne to kryterjum, mimo wszystkie swoje treści dodatkowe, o których wyżej mówiłem, nie może stanowić żadnej samodzielnej zasady socjologicznej. Trudno byłoby wyobrazić sobie poważny, odgrywający istotną rolę historyczny ruch ideowy o charakterze n. p. politycznym, który grupowałby w swych szeregach ludzi jednego tylko pokolenia. I rzeczywiście, w każdym z istniejących współcześnie ruchów tego rodzaju widzimy, jeśli chodzi o kryterjum wieku, całą klawiaturę roczników, od generacji już „weterańskiej“, poprzez dojrzałych średniaków, aż do zupełnie młodego „narybku“. Cementem, spajającym tych wszystkich, pod względem biologicznym tak zróżnicowanych ludzi, jest wspólna wiara w te czy inne zasadnicze ideały ruchu.

W układzie rzeczywistości dzisiejszej stwierdzenie powyższe odnieść możemy bez zastrzeżeń do wszystkich „starych“ ruchów społeczno-politycznych, „starych“ w sensie historycznym, t. zn. istniejących już od dwóch-trzech co najmniej pokoleń: przede-wszystkiem więc do robotniczych ruchów socjalistycznych oraz do klasowych ruchów chłopskich. Jedne i drugie, jako oparte w założeniu na kryterjum realnych przeciwieństw społecznych i zmierzające do konstruktywnej przebudowy ustrojowej, mają żywotność — mimo przejściowych załamań czy porażek w poszczególnych krajach — niejako zagwarantowaną, przynajmniej do czasu osiągnięcia swych dalekosiężnych celów. W innej zgoła sytuacji znalazły się po wojnie światowej tradycyjne ruchy i partje mieszczańskie. Oparte — w przeciwieństwie do ruchów robotniczych — na fundamencie afirmacji istniejącego porządku, stanęły wobec powojennych wstrząszeń i kryzysów z całym obciążeniem swojego bądźco bądź liberalistycznego otłuszczenia. Ratunek objawił się, jak wiadomo, w „dynamicznym“ czyli poprostu bardziej brutalnym — faszyzmie. I tutaj dochodzimy do pewnego bardzo rozpowszechnionego nieporozumienia, które należy sprostować. Ruchy faszystowskie pojmowane bywają — a raczej same tak się najchętniej pojmują — jako rzekome ruchy młodych, ruchy wchodzącego w życie powojennego pokolenia, rozumianego zresztą jako żywioł jednolity, nieodróżniony. Otóż fakty dowodzą, że opinja taka jest z gruntu fałszywa.

Zapewne, kadry „szturmowe“ obu najważniejszych dziś ruchów faszystowskich: włoskiego i niemieckiego, stanowiły — w okresie ich marszu do władzy — młode stosunkowo roczniki elementów „kombatanckich“, za którymi podążały dalsze kolejne roczniki tej młodzieży mieszczańskiej, która w wojnie udziału już nie brała. Niewątpliwie też oba te ruchy rozwijały się w atmosferze pewnej względnej opozycji do „starych“ czyli liberalistycznych ugrupowań prawicowych. Wiadomo jednak, że właściwym twórcą ideologii faszystowskiej i głównym inspiratorem ruchu „czarnych koszul“ był nietylko Mussolini, ile raczej starszy od niego o lat dwadzieścia d'Annunzio — człowiek, który w okresie „marszu na Rzym“ liczył sobie pełnych lat... sześćdziesiąt! Wiadomo również, że zwycięska „rewolucja“ Mussoliniego stosunkowo łatwo i gładko ułożyła swoje „modus vivendi“ — ze starą monarchją włoską i z całym stojącym za nią światem przywilejów urodzenia i pieniądza. Jeśli zaś chodzi o hitleryzm, to i tu również dwa fakty są dostatecznie znane i bezsporne: po pierwsze — wiadomo, jak ściśle ruch ten związany był w całym swym rozwoju ze „starszymi panami“ z rad nadzorczych niemieckiego ciężkiego przemysłu; powtóre — wiadomo również, że Hitler nie zdobył władzy drogą rewolucyjną, lecz została mu ona przekazana z „cieplej ręki“ sędziwego reprezentanta starych Niemiec, feldmarszałka Hindenburga.

Kilka słów poświadczyć wypada polskim doświadczeniom. Wydaje mi się, że swoistym dramatem naszego faszyzmu rodzimego jest jego — powiedzmy — dwutorowość. „Naturalnym“, pod każdym względem predestynowanym do tej roli nosicielem idei faszystowskich stała się u nas, od roku 1923 mniej więcej, endecja. Czego jednak brakowało jej od początku, to właśnie tego mocnego, zwartego i wysocze zaprawionego do działań aktywnego „kombatanckiego“, który odegrał tak istotną rolę we Włoszech i w Niemczech. Tak wypadło, że aktyw ten — piśsudczy — wyrósł u nas z przedwojennego nurtu niepodległościowego o charakterze demokratycznym i społecznie raczej radykalnym, co więcej, że wyrósł on i dojrzał właśnie w zasadniczej walce z partją Dmowskiego. W rezultacie ten właśnie aktyw „kombatancki“ odegrał przejściowo — w roku 1926 — rolę obiektywnie antyfaszystowską: udaremnił, przy poparciu mas robotniczych, grożący wtedy prawicowy zamach stanu, przygotowywany przez endecję pod hasłami wyraźnie już „mussolińskimi“. Z paradoksalności tego faktu zaczęło zdawać sobie sprawę — w kilka lat później — młode pokolenie endecji, czego wyrazem było powstanie ONR-u, ruchu, który — mimo pozorów ostrej opozycji wobec régime'u „pomajowego“ — siłą rzeczy postawił na porządku dziennym kwestję „pogodzenia“ dmowszczyzny — z tym elementem, którego jej zabrakło w krytycznych dniach majowych: z aktywnym kombatanckim (nie wszystkich zresztą!) piśsudczyków. Słuszną przesłanką tej „syntetycznej“ koncepcji była m. in. ta okoliczność, że piśsudczycy stanowią rzadkie stosunkowo w historii zjawisko formacji względnie jednopokoleniowej, ukształtowanej w ogniu niepowtarzalnego, jedynego w swoim rodzaju przeżycia: Legjonów. Względna „jednopokoleniowość“ polega tutaj na zespoleniu szeregu roczników, ale tylko od pewnej granicy wzwyż. Formacje tego typu nieuchronnie skazane są na „bezdzielną“ ideologiczną lub co najmniej na przymus adoptowania spadkobierców spośród uformowanej już młodzieży innych obozów. W danym wypadku ta druga ewentualność wyłoniła się jako rezultat rozejścia się grupy z jej macierzy-

stem, szerokiem łożyskiem społecznym, t. zn. jako skutek antydemokratycznej ewolucji znacznego odłamu piśsudczyków.

Znane zjawiska ostatnich czasów wskazują, iż wspomniana „dwutorowość“ naszego faszyzmu ma się poniekąd ku końcowi. Tem bardziej jednak jasne się staje, iż niepodobna dłużej mówić o jakiejś istotnej samodzielności oenerowskiego „młodego pokolenia“. Do dziś dnia zresztą zarówno ONR, jak i Stronnictwo Narodowe dość zgodnie uznają starca Dmowskiego za najwyższy dla siebie autorytet ideologiczny. Różnica między obu odłamami naszego ruchu „narodowego“ polega chyba głównie na tem, że „młodzi“ i „radykalni“ — bardziej niż stara endecja skłonni są dogadywać się z... więcej od Dmowskiego znaczącymi dziś „starszymi panami“ z obozu o tradycjach jednako nienawistnych całemu endectwu.

Cóż wynika z uprzytomnionych wyżej faktów? Oto potwierdzają one naszą tezę, iż ruchy faszystowskie nie są bynajmniej tem, za co same często i chętnie się podają: „frontami“ i ruchami „młodych“ — przeciw „starym“. Zgódźmy się, że jest w nich tyle samo co najmniej zagrożonego tłuszcza najzwyczajniejszej starej generacji mieszczaństwa, ile owego dobrze skalkulowanego „dynamizmu“ niektórych, mniej lub więcej uprzywilejowanych warstw młodzieży. A właściwa tym ruchom chęć socjalnej sterylizacji młodego pokolenia, sprawdzenia go do jakiejś czysto biologicznej, bezpostaciowej jednolitej masy — chęć taka, stanowiąca treść wszelkiej „młodzieżowej“ demagogji, jest niczem innym, jak próbą całkowitego zafalszowania rzeczywistości. Dodajmy, że świadczy ona — jak każda wogóle demagogja — o pogardliwym w gruncie rzeczy i obrażającym stosunku do młodzieży, co łatwo zrozumie każdy, dla kogo pojęcie „młodość“ jest określeniem bogatym, kryjącym w sobie pełnię wszelakich ludzkich możliwości — nie zaś jedynie synonimem przyrodniczego żywiołu, byczkowatego „dynamizmu“ młodych gardzieli i mięśni.

II

Posłuchajmy jednak, jak na te sprawy zapatrują się rzecznicy formuły: „młodzi“ — „starzy“, ludzie, wierzący w istnienie jakiegoś rzeczywistego „konfliktu pokoleń“. Jeden z nich, p. Stanisław Piasecki, redaktor „Prosto z Mostu“, napisał swego czasu w artykule „Cenzus wieku“ zdania następujące:

„Niesposób nie widzieć dzisiaj (mowa o stosunkach polskich — p. m.) zjawiska solidarności młodego pokolenia. Nie jest to solidarność poglądów oczywiście, ale solidarność metody myślenia, solidarność hierarchji tematów, solidarność reakcji uczuciowych. Dwu młodym z przeciwnych obozów łatwiej się nieraz dogadać ze sobą, niż każdemu z nich ze swoim „starym“. Bliżsi są sobie psychicznie... Ich podział jest jeszcze odłaskiem podziału t. zw. starszego społeczeństwa. Ale jest to podział raczej powierzchowny...“

Możnaby ostatecznie uznać uwagi powyższe za słuszne, gdyby przyjąć, że p. Piasecki mówiąc o „dwu młodych z przeciwnych obozów“ miał na myśli jedynie różne konkurencyjne grupy naszych „narodowców“, chociaż skądinąd wiadomo, jak dzikie formy przybiera współzawodnictwo między temi właśnie grupami. Jeśli jednak rzekoma „solidarność młodego pokolenia“ miałaby tu oznaczać rzecz większą i szerszą, to wypadłoby tylko podziwiać niefrasobliwość, z jaką w zacytowanym ustępie fakty zostały przez p. Piaseckiego nagięte do wydmuchanej a priori tezy. W rzeczywistości bowiem konflikty idei i światopop-

REWOLUCJA W WARSZAWIE

St. Andrzej Radek. Rewolucja w Warszawie, 1904—1909. Z przedmową Mieczysława Dąbkowskiego. Warszawa, „Biblioteka Polska”, 1938; str. 435 i 1 nl.

W „Słowie od autora” Radek „podkreśla”, że praca jego „nie wyczerpuje działalności Organizacji Bojowej i nie jest jej historią, a tylko drobnym ułamkiem”, — czem stwierdza, że praca ta nie jest historią „Rewolucji w Warszawie”, lecz opisem działalności Organizacji Bojowej PPS na terenie Warszawy. Działalność ta była jednym z objawów rewolucji wybitnie klasowej proletariatu, rewolucji olbrzymich, masowych i powszechnych strajków, rewolucji stalego wychodzenia nielegalnych pism robotniczych aż do codziennego „Robotnika” w Warszawie, stanowiącej terytorjalną część podobnej rewolucji w państwie rosyjskim, która objęła wielomilionowe masy proletariatu i inteligencji, doprowadziła do zatrzymania życia państwowego na niektórych odcinkach, np. powszechny strajk kolejowy, wstrząsnęła do głębi całe państwo i zmusiła je do kapitulacji w październiku 1905 r. Jeżeli autor wyznaje jawnie, że zajmuje się wyłącznie działalnością Organizacji Bojowej w Warszawie, to w tytule wyolbrzymia zakres swego przedmiotu; Organizacja wchodziła w skład PPS, PPS zaś była jedną z partji obok SD, które działały w tej rewolucji na terenie Warszawy, i działalność tej Organizacji była znikomo małą częścią działań rewolucyjnych na tym terenie. Wprowadza zatem w błąd czytelnika, gdyż czytelnik z tytułu orientuje się o treści książki. Autor czyni to jednak nie z jakiegoś wyrachowania, lecz ze swego specyficznego pojęcia o rewolucji jako akcji wyłącznie bojowej, zapominając nawet o tem, że ta akcja bojowa jest możliwa jedynie na gruncie rewolucji w zakresie przez niego nieznanym. Słuszność tej uwagi stwierdza mimowolnie sam autor, gdyż daje taką charakterystykę swego pojęcia rewolucji: „Głębokie jednak przeciwieństwa socjalne stały się następnie pochylnią, po której wielki ruch polityczny stoczył się na dno walk klasowych”. Więc ruch „polityczny” w rozumieniu autora, t. j. działalność organizacji bojowej, jest zależny nie tylko pozytywnie ale i negatywnie od warunków. Negatywnie — od tożenia się walk klasowych, które przeszkadzają ruchowi politycznemu. Śmiemy zapewnić autora, że walka klasowa jest w całej pełni swego znaczenia ruchem politycznym.

Autor ani słowem nie wspomina o pierwszej akcji bojowej PPS, pierwszej wielkiej i największej eksproprowacji półtora miliona rubli w Wysokim Mazowieckim. Jest to zgodne z zapowiedzią mówienia tylko o akcji Organizacji Bojowej. Nie wspomina mimo to nawet, że lwia część pieniędzy z eksproprowacji w Wysokim Mazowieckim była zużyta na założenie i wykupowanie Organizacji Bojowej. Trzeba więc było najpierw nierewolucyjnie i niepolitycznie, chociaż bojowo, zdobyć pieniądze na założenie Organizacji Bojowej, aby ona mogła zacząć rewolucję, czyli ruch polityczny. To zaś można było zrobić tylko pod warunkiem istnienia czegoś, co umożliwiło istnienie partji i jej akcji. Tem czemś była właśnie walka klasowa, w której imię istniała PPS i jej działalność. Błędne koło.

przecież na dnie przeciwstawienia: „młodzi” — starzy”. Należy tylko sprowadzić zagadnienie na odpowiednią płaszczyznę. Koncepcję „walki pokoleń”, pojętej jako rzekomo ważny konflikt natury „programowej”, trzeba stanowczo odrzucić, uznać za sztuczną i pozbawioną „pokrycia” w samej rzeczywistości. Prawdziwe walki i rzeczywiste programowe konflikty to tylko te, które mocnymi linjami biegną wzdłuż dziejów, nurtami prującymi poprzez pokolenia — i tych nie zdola zadławić żadna, najbardziej nawet masowa wytwórnia duchowych uniformów; te trzeba rozwiązywać.

Biologiczne w istocie swojej zjawisko „rytmu pokoleń” nie może być przedmiotem naciąganych spekulacji „młodzieżowych”, lecz powinno być traktowane jako biologiczny właśnie mechanizm rozwoju ludzkich społeczeństw. Dzieje odmierzać można różnego rodzaju podziałami epok, okresów i cykli, lecz ich odrębną zgoła, najmniej nadającą się do spekulacji miarą jest nieustanny, przez tysiąclecia idący przepływ generacji. Żadna sztywna granica nie może być przeprowadzana wprzekręt tego nieprzerwanego, wiecznie płynącego żywiołu. Dlatego „starzy” i „młodzi” — to nie są pojęcia przeciwstawne, to pojęcia raczej współbieżne, na podobieństwo fal rzecznych równoległe za sobą idących.

Zapewne, młodzi często skłonni bywają sądzić, że świat od nich dopiero się zaczyna — i to przekonanie ma w pewnym stopniu swoje pobudzające znaczenie. „Starzy” — wiedzą, że tak nie jest, i chociaż smak tej wiedzy bywa cierpki, przecież i jej nie można lekceważyć. Jeżeli jest tu jakiś konflikt, to chyba tylko ten jedynie, który każdy człowiek przeżywa we własnym wnętrzu.

Leon Kruczkowski

Natomiast wbrew zapowiedzi mówienia jedynie o akcji Organizacji Bojowej, autor opisuje manifestację zbrojną na Grzybowie, przeprowadzoną przez PPS przed powstaniem Organizacji Bojowej. Opis tej manifestacji poprzedza długim, 12 stron zajmującym, „Wspomnieniem o Grzybowie” Józefa Piłsudskiego, późniejszego głównego kierownika późniejszej Organizacji Bojowej. Czyżby stąd wypływała kwalifikacja tej manifestacji jako akcji Organizacji Bojowej?

Byłem właśnie tym, który — na drugi dzień po manifestacji zbrojnej na Placu Grzybowskim 14 listopada 1904 r. od samego rana w drukarni partyjnej w urzędowym dla niej mieszkaniu jednonogiego starca Józefa Uziembły, w domu pod Murzynem na Starem Mieście, z rękopisu Józefa Kwiatka, głównego organizatora tej manifestacji (nigdy nie był członkiem Organizacji Bojowej) — składał odezwę o Grzybowie. Manifestacja zgromadziła ludzi spoza bezpośrednio powołanych przez partję i choć z miejsca została rozproszona przez policję i wojsko, była głęboko odczuta w masach i dlatego stała się czynem rewolucyjnym.

Autor nie wspomina o również zbrojnym i masowym wystąpieniu proletariatu i młodzieży inteligentkiej w niedzielę 5 lutego 1905 r., w 2 tygodnie po rzezi petersburskiej masowego wystąpienia proletariatu dnia 9/22 stycznia pod przewodnictwem Gajdona. Wystąpienie petersburskie miało zasadnicze, przełomowe znaczenie dla rewolucji rosyjskiej, z którą organicznie była związana, co właśnie w tym oddźwięku polskim się wyraziło, rewolucja w Polsce. Mówię o oddźwięku, gdyż bez oddźwięku mas żadna partja nie zrobi masowego wystąpienia.

Opisuje powstanie i stosunek Organizacji Bojowej do partji. Przytacza m. inn. uchwałę VII Zjazdu (lutego 1905): „Wobec możliwości masowych rewolucyjnych wystąpień w kraju i w Rosji — Zjazd poleca CKR zorganizowanie spiskowej organizacji, któraby stanowiła nasze pierwsze szeregi w momencie rewolucji. Do tego zaś czasu kieruje masowymi wystąpieniami ulicznymi (manifestacje, zgromadzenia masowe itp.) zgodnie z instrukcją CKR, jeżeli chodzi o cały kraj, i z inicjatywą Komitetów Okręgowych w sprawach lokalnych” — i którejs z następnych Rad:

„Rada stwierdza, że wobec uchwał VII Zjazdu Spiskowo-Bojowa Organizacja jest środkiem przygotowania mas do obchodzenia się z bronią i stanowi samoobronę partji”. Przytacza to jednak tak okolicznościowo, że trudno zorientować się w tych stosunkach. Na ostatnią uchwałę Rady Konferencja Bojowa odpowiadała postanowieniem „tworzenia armji, która niezwłocznie bez względu na wysokość jej sił ma wszcząć akcję bojową, aby przykładem swoim pociągnąć ludzi i pchnąć do rewolucji”. W zestawieniu uchwał i tego postanowienia widzimy rozdział, jaki istniał pomiędzy partją i jej Organizacją Bojową, i konieczność rozłam. Po rozłamie Organizacja Bojowa prowadziła swą akcję dalej pod nazwą „PPS Frakcja Rewolucyjna”.

O rozłamie mówi autor w związku z ciężkimi warunkami Organizacji Bojowej, wobec licznych zdrad w chwili załamania się rewolucji, przedewszystkiem zdrad Sankowskiego i Dyrca. „Nadmiar złego w partji nastąpił rozłam i prawie wszyscy bojownicy, aby ratować ideę niepodległości, musieli się zająć tworzeniem organizacji cywilnej, budować własną partję pod starą nazwą Polska Partja Socjalistyczna z dodatkiem „Frakcja Rewolucyjna” (str. 269).

Radek zatem określa rozłam jako oderwanie się Organizacji Bojowej od partji. Możemy dodać, że oprócz niej odszedł do Frakcji także prawie cały Wydział centralnej techniki z całym swym majątkiem. Spowodu tego rozłamu autor wypowiada taką refleksję: „Dziwne, tragiczne pomylenie pojęć i uczuć. Nie ulega przecież wątpliwości, że wszyscy Polacy pragnęli niepodległości, lecz kiedy powstał taki obóz, który postanowił realizować te pragnienia, uderzono w niego z całą zacieklnością” (str. 270). Pomylenie — ale gdzie?

Opis akcji Organizacji Bojowej autor rozpoczyna od uprowadzenia 10 z Pawiaka. Inicjatywa tego czynu wyszła od Wita (Max Horwitz), który wówczas siedział na Pawiaku i codziennie patrzył na 10 ludzi, trzymanych tam dla późniejszego stracenia. Zakomunikował ją CKR-owi na widzeniu przez Julję (siostra jego, Kamila Horwitz). Inicjatywę tę od początku, gdy wydawała się niewykonalna, stanowczo poparła i przeprowadziła skutecznie Anna (Zofia Wortman Posnerowa). Ona — jak i w sprawie eksproprowacji w Wysokim Mazowieckim — z polecenia CKR-u kierowała całą akcją przygotowawczą, oraz opieki i wysłania uprowadzonych. O tem wszystkim autor nie wspomina, ogranicza opowiadanie, zresztą szczegółowe aż do drobiazgowości, do wystąpienia grupy zamaskowanej jako oddział policji pod dowództwem Jura (Jan Gorzechowski), od wymaszerowania na Pawiak do opuszczenia karetki więziennej. Nie wspomina też o zakupieniu dziesięcioma tysiącami rubli wewnątrz Pawiaka pomocnika Deryngowskiego. Siedziałem wtedy także na Pawiaku. Kiedy nazajutrz rano powstała konsternacja spowodu zabrania 10 towarzyszy do Cytadeli, Wit mru-

gnął mi wesoło okiem i powiedział pocięto: Wesoły dzień nam dziś nastał! Wkrótce weseli się cały Pawiak.

Dalej w opisie szeregu wystąpień Organizacji Bojowej do nieudanego zamachu na pociąg wołyńców w lecie 1907 r. włącznie, przesuwają się szeregi pięknych i czynów i ludzi jak Mieczysław Mańkowski, Stefan Okrzeja, Józef Mirecki i bohaterzy młodzieńcy: Szulman, Tytus (Zygmunt Wcisła), Smukły (Henryk Baron) i inni. Końcowy akord obejmuje zabójstwo Grina (zorganizowane zresztą nie przez O. B., lecz przez byłego członka tej organizacji Rogalewicza, który po rozłamie pozostał w partji) oraz Sankowskiego i Dyrca.

Wszystkie opisane czyny Organizacji Bojowej są oczywiście akcją metodycznego, zorganizowanego terroru, którą w pewnym sensie przeciwstawia się akcji masowej i w chwili załamania się rewolucji częściowo zwycięskiej poczyna działać hamując na tę akcję masową i dezorientując na uświadomienie rewolucyjne. Wtedy kierownictwo partyjne musi, ma obowiązek powściągnięcia i zlikwidowania tej akcji. Kierownictwo partji już po pierwszej pomyślanej eksproprowacji w Wysokim Mazowieckim musiało dla utrzymania czystości programowej rewolucji politycznej o ideologii klasowej powstrzymać zapalony eksproprowatorskie swoich kadr spoza Organizacji Bojowej. Uświadomienie tej potrzeby trafiało z trudem do przekonania zapalonych szeregów. Wtedy właśnie powstał termin „ostatniej eksy”. Długo domagano się zgody CKR-u na jeszcze jedną „ostatnią eksę”. Organizacja Bojowa zaś ignorowała domaganie się CKR-u za przestania „eks” i prowadzenia jedynie akcji politycznego terroru. Oczywiście kierownictwo Organizacji Bojowej, uważające ją jednocześnie za „obóz niepodległościowy”, nastawione powstańczo i z pogardą odnoszące się do „dna walk klasowych”, — jak i nasz autor — nie mogło rozumieć stanowiska CKR-u i zgodzić się na jego wymagania.

Ale nawet z punktu widzenia autora jest fałszowaniem prawdy zamilczanie jednych rzeczy i wyolbrzymianie innych. Jeszcze brzydszą rzeczą jest insynuacja. Np. autor pisze: „Pierwszymi szpiegami „Ochrany”, którym udało się przeniknąć do Organizacji Spiskowo-Bojowej byli dwaj Żydzi: Moszek Szwarz i Dawid Ajzenlist (str. 112)... Wciąż jednak obaj tkwili w organizacji żydowskiej, nie mając dostępu do Organizacji Spiskowo-Bojowej. Wreszcie udało im się zachwycić sobą działaczkę organizacyjną „Anne”-Posnerową wywodami, że nie mają co robić w organizacji żydowskiej, że chcieliby należeć do O. S.-B. razem z chrześcijanami i brać udział w akcjach bojowych; nauczeni przez Petersona (naczelnika „Ochrany”) mówili, że Żydzi powinni walczyć o Polskę. Zachwycona tem Posnerowa z trudem, ale wymogła od Prystora, że zgodził się na przyjęcie obu do O. S.-B.” (str. 115).

Cała akcja Organizacji Bojowej jest przedstawiona jako wojna polsko-rosyjska. Stąd takie śmieszne zestawienie sił „stron wojujących”: liczba zorganizowanych bojowców w Warszawie wynosiła 300—350 ludzi, natomiast siła wroga — tyle a tyle jednostek takich a takich rodzajów broni, ogółem 82.000 ludzi, nie licząc policji — tylu rewirów, tylu stójkowych prócz agentów „Ochrany” i Rosjan — profesorów, nauczycieli, urzędników (str. 219), — i taki „fason”, jak „dostał się do niewoli”, przyczem jednocześnie wroga nazywa się zbiorowo i jednostkowo „zbirami”, „zbirom”.

Zauważyłem też kilka błędów — oczywiście nie wszystkie: „Stanisław Jędrzejewicz („Ryszard”, „Karol”) — zamiast Jędrzejewski, Zachs — zamiast Sachs, w jednym miejscu „Anna” Horwitz Wortmanowa.

Szata zewnętrzna książki bardzo poprawna.

Józef Ciagliński

* * *

W poprzednim (42) numerze „Sygnałów” z dnia 1 kwietnia: Stefan Rudniański: Niebezpieczny obrońca. Tomasz Hobbes (1588—1679). — Zygmunt Jarosz: Uwagi nad pewną encyklopedją. — Jan Kott: Czasy braterstwa. — Adolf Sowiński: Zapasy o Hiszpanję. — Georges Duveau: Francja na przełomie. — Jerzy Wyszomirski: Przed trybunałem ogółu. — Karol Kuryluk: Rodowód naszych dni. — Paweł Hulka-Laskowski: Wśród nowych książek. — Emil Zegadłowicz: Stary, poczciwy Chodźko. — Michał Chmielowiec: Rewizja „Wyzwolenia”. — Marja Koszyc-Szałajka: „Piąty etap” Piaseckiego. — Tadeusz Banaś: O Reymonie. — Jerzy Kamil Weintraub: Rozmowa. — Edward Szymański: Fraszi. — Franciszek Parecki: Sztab generalny (rys.). — Kronika ukraińska. — W oczach Zachodu. — Przegląd prasy. — Korespondencja. — 8 stron. — 6 ilustracji.

głódów daleko ostrzej występują właśnie w każdorazowym pokoleniu „młodych” niż w odpowiadającej mu generacji „starych”. Wynika to nie tylko z biologicznej różnicy temperamentów. Wspominaliśmy już poprzednio, że czynnikiem spajającym ludzi jednego pokolenia jest pewna suma wspólnie doznanych przeżyć historycznych, pewien szmat wspólnie przebytej drogi dziejowej, pewien wspólnie przemierzony etap rozwoju cywilizacyjnego. Otóż jest rzeczą zupełnie oczywistą, że suma wszystkich tych wspólności narasta w miarę starzenia się generacji, w miarę, jak pokolenie posuwa się w lata. Prowadzi to z naturalną konsekwencją do stopniowego pogłębiania się więzi wewnątrz danego pokolenia, co skłoni do działań znów musi przytępiając i uśmierając na wszystkie istniejące w tem pokoleniu linje podziałów światopoglądowych. Stosunkowo najbardziej jednolity jest niewątpliwie światopogląd t. zw. starców nad grobem...

Wszystko to prowadzi nas do wniosku, że znalezienie „wspólnego języka” w sprawach zasadniczych — „starym” o wiele łatwiej przychodzi niż „młodym”. Co więcej, gdy wśród „starych” najwydatniejszą rolę zdają się odgrywać raczej antagonizmy personalne, zadawnione komezaże i porachunki osobiste, to w młodym pokoleniu góruje właśnie ostrość rysunku konfliktów istotnych, programowych. Młodzi bowiem, wchodząca w życie publiczne, nie wlewa się doń zwartą i jednolitą masą swojego żywiołu. Wsącza się ona — inaczej przecież być nie może! — w łożyska istniejących już, zastanych ruchów i sił społecznych. Rzucą się w ich różnoidalne nurty z całym impulesem biologicznej świeżości. Właściwa jej wiekowi skłonność do egzaltacji i przesady oraz nikłość zmysłu krytycznego czynią jej stosunek do przyjmowanych idei i światopoglądów — radykalnym i jaskrawym. Skoro zaś i suma wspólnych przeżyć pokoleniowych jest jeszcze zbyt szczupłą, by wytwarzane przez nie spójnie mogły odgrywać wydatniejszą rolę — cóż dziwnego, że istniejące w społeczeństwie podziały i konflikty właśnie w młodym pokoleniu zyskują raczej na ostrości i natężeniu. Ale też właśnie dlatego trudno jest mówić o rzekomej „solidarności młodego pokolenia”, a tem mniej o wynikającym jakoby z tej „solidarności” — „wspólnym frontem” „młodych” przeciw „starym”. (P. Piasecki nie weźmie mi chyba za złe, jeśli stwierdzi, że między współczesną młodzieżą mieszczańsko-nacjonalistyczną a znakomitą większością młodzieży robotniczej i chłopskiej nie tylko niema mowy o solidarności poglądów, ale tak samo — i może nawet przedewszystkiem! — o jakiejś solidarności „metody myślenia”, „hierarchji tematów” i „reakcyj uczuciowych”. I jedna i druga i trzecia są — tu i tam — zgruntu i całkowicie odmienne).

Tak przedstawiają się te sprawy w warunkach swobodnej czy choćby względnie swobodnej gry sił społecznych. Wiadomo jednak, że ruchy faszystowskie zmierzają do ograniczenia a raczej wręcz unicestwienia tej swobody. „Demagogia młodzieżowa” tych ruchów wiąże się dość logicznie z ich programową tendencją „totalistyczną”, z zasadą monopartyjności, usuwającej z życia publicznego kraju istnienie i działanie jakichkolwiek, poza partją rządzącą, ugrupowań polityczno-ideowych. Mogłby więc ktoś powiedzieć, iż „solidarność młodego pokolenia” w najszerszym pojęciu, zasadniczo niemożliwa do osiągnięcia w społeczeństwie „demoliberalnym”, zyskuje pełne podstawy realizacyjne — w ustrojach „totalnych”. „Totalizm”, niszcząc owe różnoidalne łożyska „starych” ruchów, kanalizuje całą młodzież w swoim wyłączenie, mocno obwałowanym korycie wychowawczym, obficie posługując się przytem — zwłaszcza w fazie początkowej — hasłami „walki pokoleń”. Powstaje więc pytanie, czy — i w jakim stopniu — tego rodzaju próbom całkowitego ujednolicenia ideowego jednej chociażby generacji można rokować na dłuższą metę jakąś istotną spójność i trwałość?

Nie sądzę, aby odpowiedź na to pytanie mogła być tylko jedna, t. zn. bezwzględnie przecząca. Owszem, wydaje mi się, że trwałe i prawdziwe scalenie młodego pokolenia — oczywiście nie w znaczeniu jakiegokolwiek skoszarowania mózgow, lecz w sensie pozyskania ich dla wspólnego ideału społecznego — jest w zasadzie zawsze do osiągnięcia. Pod jednym wszakże kardynalnym warunkiem: pod warunkiem uprzedniej przebudowy strukturalnej ludzkiego społeczeństwa, w pierwszym rzędzie zaś usunięcia istniejących dziś w tej strukturze głębokich, przeraźliwie głębokich różnic ekonomiczno-socjalnych. Otóż faszyzm jak najmniej zdolny jest dokonać tego wielkiego zadania. On właśnie w tym celu powstał, aby do przebudowy społecznej nie dopuścić, aby jej czas opóźnić, aby strukturę przeklętych podziałów utrzymać, ratować wszelkimi środkami, a nawet — w praktyce — jeszcze ją pogłębić i zaostriżyć. Ale dlatego właśnie dzieło podjęte przez „Balillę” czy „Hitlerjugend” nie będzie — nie może być — skuteczne i trwałe. Ta prawda jasna jest dla każdego, kto życie społeczeństw ludzkich ocenia cierpliwą skalą historii, nie kieszonkową podziałką samodurnej histerji politycznej.

III

Nie wynika z całości powyższych wywodów, abyśmy mieli nie widzieć tej części prawdy, jaka — mimo wszystko — tkwi

STEFAN POMIAN

Blaski i cienie Wielkiej Rewolucji

„Czy ktoś może znać teraźniejszość? Czyż nie jest specjalnym przywilejem historii, że możemy izolować i badać fragment przeszłości w nadziei, że dotrzemy do ustalenia prawdy o tym fragmencie i ufną w to, że fragment ten okaże się niezwykle podobny do jakiegoś urywka teraźniejszości, którego zbadać nie możemy, ponieważ nie potrafimy izolować go od otoczenia?”

J. M. Thompson. Przywódca Wielkiej Rewolucji Francuskiej.¹⁾

1

Wielka Rewolucja Francuska — jej dzieje, hasła, elita — nabrały w czasach ostatnich świeżej aktualności. Stało się tak zarówno dlatego, iż hasła Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, owo „palladium” demokracji współczesnej, wzbudzają nawiązanie i sympatię, jako przeciwstawienie tego, co się głosi i czyni w krajach dyktatury, jak i wskutek mody na analogie historyczne, nasuwające się w związku z wypadkami w Z. S. R. R.

Thompson nie analizuje Wielkiej Rewolucji Francuskiej z myślą o teraźniejszości; w książce jego napisanej przed sześcioma laty, niema ani jednej wyraźnej aluzji, a jednak szereg jej ustępów znajduje w umyśle czytelnika żywy oddźwięk i wzbudza w nim skojarzenia wysoce aktualne.

„Trzeba było być w najwyższym stopniu niewrażliwym lub zuchwałym — pisze np. — żeby brać jakiś wybitniejszy udział w życiu społecznym w okresie przemian opinii rewolucyjnej, gdy liberałowie z r. 1789 stawali się konserwatystami w r. 1791, liberałowie z r. 1791 konserwatystami w r. 1792, liberałowie z r. 1792 — konserwatystami w r. 1794; gdy Mirabeau, pochowany w Panteonie jako patriota w r. 1791, został stamtąd usunięty, aby zrobić miejsce Maratowi, patriocie z r. 1794; gdy przywódca Żyrondy, którzy rozpętały wojnę narodową w r. 1791—2, zostali straceni jako zdrajcy w r. 1793; gdy Danton, dwukrotny zbawca kraju w r. 1792—3, został skazany na śmierć za kontrrewolucję w r. 1794; gdy oskarżenia o „incivism” (nieobywatelskość) stały się monetą obiegową w polityce partyjnej, a od decyzji arbitralnego trybunału nie było odwołania wyjąwszy despotyczny Komitet... Atmosfera ta wytwarzała się stopniowo, nęcąc dopóty swe ofiary rozkoszą igrania z ogniem, póki nie zostały uwikłane w niedające się przewidzieć sytuacje bez wyjścia, przyczem prawdopodobnie ginęły przeważnie nietylko osobniki najgłupsze, lecz również najwspanialsze charaktery.”

2

J. M. Thompson jest profesorem historii w St. Mary Magdalen College w Oxfordzie i autorem rozprawki źródłowej „L'organisation du travail du Comité de Salut Public” („Annales hist. de la Rév. franç.”, 1933), oraz napisanej już po „Przywódcach” dwutomowej monografii o Robespierze (przekład polski A. Dobrota, Warszawa, J. Przeworski, 1937). W „Przywódcach” postawił on sobie za zadanie zbadać Wielką Rewolucję Francuską przez pryzmat życia jej jedenastu wybitnych przedstawicieli z Sieyesem, autorem „Qu'est ce que le Tiers-Etat?”, Mirabeau, Brissotem, Dantonem, Robespierrem i Maratem na czele.

Otwiera ów pochód Sieyes, ten, który pierwszy sprecyzował znaczenie mieszczaństwa. Walka tego mieszczaństwa o hegemonię — z feudalizmem francuskim i europejskim z jednej strony, a stanem czwartym — rzemieślnikami i proletariatem z drugiej — stanowi właściwy nurt Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Sieyes dał Francji rewolucyjnej Zgromadzenie Narodowe (w które przekształcił Zgromadzenie Stanu Trzeciego), gwardję narodową i system departamentalny; on też dziesięć lat później „spowił w całun konstytucyjny brumaire'a zmarłą i zbeszczeszczoną wolność, poczem złożył ją w grobie bonapartyzmu”. W okresie dyktatury drobnomieszczaństwa rewolucyjnego z Robespierrem na czele milczał jak zaklęty (gdy go pytano później, co robił wówczas, odpowiedział „j'ai vécu” — „żyłem”).

On też podczas reakcji termidorjańskiej przeprowadził jednego dnia (21. III. 1795) dwie uchwały — przeciw jakobinom i przeciw rojalistom, zostając wiernym sobie, klasycznym przedstawicielem nowego mieszczaństwa, wyłonionego przez rewolucję.

Drugi skolei, wspaniały mówca, hr. Mirabeau, bardziej prawicowy społecznie i nie filozof jak Sieyes, lecz żądny życia i użycia, zaprzędał się królowi licząc na zdołanie z jego pomocą władzy i okiełznanie rewolucji. Nagła śmierć uratowała go od poniesienia konsekwencji za swą zdradę. Mirabeau liczył, że uda mu się poprawić warunki materialne mas bez usuwania króla, a wtedy lud pójdzie za nim. Nie rozumiał jednak ideałów i entuzjazmu mas, ich dynamiki, która zmiotłaby go z powierzchni ziemi, gdyby zdążył się im przeciwstawić.

1) J. M. Thompson. *Leaders of the French Revolution*. Oxford, 1932. Przełożył Stefan Pomian. Warszawa, „Rój”, 1938; str. 308 i 4 nł. Zł. 10.

„Obu im (Mirabeau i Sieyesowi) — pisze Thompson — nie udało się przeprowadzić rewolucji: Sieyesowi, ponieważ celował zbyt wysoko, Mirabeau, gdyż celował zbyt nisko”.

„Bohater dwóch światów”, markiz Lafayette, po przymusowej abdykacji i aresztowaniu Ludwika XVI stracił wiarę w rewolucję i przeszedł do jej najgorszych wrogów — austriaków. Ci odwiedzili mu się pięknie, przetrzymując go przez pięć lat w lochu, z którego zwolnili go dopiero rozchodzące się po całej Europie echa armat obywatela Bonapartego.

Jak śmieć wreszcie odrzucony został przez rewolucję sprytny karierowicz gen. Dumouriez, zdrajca i renegat przez całe swe późniejsze życie i jak na ironię zwycięzca spod Valmy i Jemmappes (jesień 1792), gdzie oręż chłopskich wojsk rewolucyjnych okrył się porażką pierwszymi nieśmiertelną chwałą. (W związku z pobytym Dumourieza w Polsce zapoznaliśmy się z jego ciekawymi, choć niepocholebni, uwagami o konfederacji barskiej).

Z czterech tych ludzi prawdziwym przywódcą był tylko Mirabeau. Ale życie ich wszystkich jest odzwierciedleniem pierwszych trzech aktów rewolucji (w ujęciu Thompsona). Przyczyną wykołajenia się tych ludzi (trzech ziemian i jeden biskup) była ich wrogość wobec haseł społecznych i politycznych mas ludowych, niezrozumienie przemian rewolucyjnych. Z jednolitego dotychczas stanu trzeciego wylaniał się w ich oczach nowy stan — czwarty, drobnomieszczańsko - proletariacki, którego radykalizacja polityczna — od entuzjastycznego monarchizmu do jaskrawego republikanizmu — była dla nich niezrozumiała, tak samo jak jej tło gospodarcze.

Na rzeź na Polu Marsowem (17. VII. 1791), jaką temu ludowi wyprawili Lafayette, lud odpowie rzezią arystokratów po więzieniach (2—6. X. 1792) w chwili, gdy wróg stanie u bram stolicy, a władzę obejmie Komuna miasta Paryża — a potem za przewodem Marata i Robespierre'a ruszy na Żyrondę.

Bohater czwartego aktu dramatu rewolucyjnego, mieszczański Brissot, będący obok madame Roland i Vergniauda, jednym z przywódców Żyrondy, to uosobienie chwiejności „radykalnego”, „wolnohandlowego” mieszczaństwa i finansjery, za którymi stoi drobny ciułacz prowincjonalny. Chciałby odebrać władzę Paryżowi na rzecz prowincji i powstrzymać rozpęd socjalnej rewolucji, ale rydwan jej miażdży go wraz z poplecznikami — po królu, którego Żyronda broni jak potrafi. „Usuwać Żyrondę, Robespierre zniszczył partję, usuwając Brissota, zgilotynował ideę”. Ale mieszczaństwa jako klasy zniszczyć nie potrafił; interesów tej klasy będzie później bronił Danton, niektórzy robspiercyści nawet, aż wreszcie termidor odda jej władzę w ręce.

3

Po drugiej stronie barykady znajdują się przedstawiciele stanu czwartego: Danton, Robespierre, Marat — „Góra” Konwencji, bohaterowie ostatniego aktu dramatu. Pierwszy z nich — świetny polityk, zły taktik, Danton, chłop z pochodzenia, uosobienie rewolucyjnej obrony narodowej w r. 1792, ale i groszorbstwa na wszelkie sposoby, próbuje wykorzystać swe wpływy wśród stanu czwartego, aby przeformować — jak mówi Thompson — „tendencje, ujawniające się w sferze ludzi interesu i finansistów, mające na celu zwolnienie tempa arestowań i innych ograniczeń, których sytuacja na froncie już nie wymagała, oraz zaprzestanie terroru”. Próba ta, za czasów na kilka miesięcy (każdy z nich różnił się normalnym latem), skończyła się dla Dantona tragicznie — na gilotynie.

Marat, który nie był ani zbrodniarzem z piekła rodem, ani zwiastunem nowoczesnego socjalizmu, lecz reprezentantem ideologii drobnomieszczańskiej, zbliżonej do Robespierre'a i uzupełnionej przez taktykę bardziej rewolucyjną, ginie, zamordowany w kąpielni przez Charlotte Corday — jako ofiara walki z Żyrondą.²⁾ Ideologię spauperyzowanego drobnomieszczaństwa, chałupników i nielicznego proletariatu fabrycznego reprezentował ks. Jacques Roux i inni „enragés” („wściekli”,³⁾ o których Thompson milczy, a częściowo Hébert, o którym przelotnie wspomina. Ta skrajna lewica rewolucji, poprzednicy Babeufa i socjalizmu, ginie w walce z Robespierrem, jako „ajenci Pitta i Koburga” — w tym samym czasie, co prawicowy Danton.

Robespierre wreszcie, wybitny mąż stanu, moralny przywódca całorocznej dyktatury jakobinów, egalitarysta drobnomieszczański (wraz z Saint-Justem), przedstawiony jest jako apostoł dyktatury ludu („il

2) Por. L. A. Gottschalk: J. P. Marat. Paris, Payot, 1929, str. 207 i C. Friedland: Pamflety Marata, Moskwa, 1934. Academia, str. 75.

3) Por. J. M. Zacher, Bieszenyje. Leningrad, 1930, str. 242, oraz A. Mathiez, vide odsyłacz 4).

faut une volonté une” — „trzeba jednej woli”). Jego próby podważenia prawa własności prywatnej i opinia apostoła terroru wywołują przeciw niemu wściekłość mieszczaństwa. Ze śmiercią jego 10 termidora (28. VII. 1794) kończą się zorganizowane próby emancypacji stanu czwartego. Do władzy bezspornie dochodzi kapitał handlowy, przemysłowy i finansowy (u Thompsona jest to przedstawione w sposób niejasny).

Jedną z największych wad książki Thompsona jest niepodkreślanie momentów socjalno-gospodarczych, tłumaczących w znacznym stopniu zawile dzieje walk politycznych. Thompson jest typowym uczonym mieszczańskim (znamienne są jego sympatie do Żyrondy i antypatje do Marata), sumiennym i w intencjach wnikliwym, ale nieumiejącym pojąć całej dialektyki rewolucji. Pod tym względem jest on uczniem Aularda. Ulegając jednak skądinąd wpływowi Mathieza, specja od spraw gospodarczo-społecznych w rewolucji⁴⁾, robspiercyzmu i dantonizmu, obala — niezupełnie w zgodzie z samym sobą, — szereg różnych utartych, lecz fałszywych mniemań: o terrorku (str. 228), o roli Robespierre'a (267), o bezgrzeszności Dantona (183), którego prawdziwe oblicze częściowo odsłania itp., co jest wielką zaletą książki.

4

Nie ludźmy się więc, że po przeczytaniu książki Thompsona wszystkie zagadki rewolucji staną się dla nas jasne. Czemu n. p. tłumaczyć kołobieg ideologiczny rewolucji i nawrót (może pozorny?) do punktu wyjścia (termidor, bonapartyzm, Burboni)? Czy realizatorzy drobnomieszczańsko-proletariackich haseł rewolucyjnych spośród owych „montagnards” i „enragés” byli ludźmi przedczesnymi na tle istniejących stosunków polityczno-gospodarczo-społecznych Francji i Europy, czy też byli może zwykłymi utopistami, głoszące zaś przez nich hasła wogóle nie dadzą się wcielić w życie? Oto niektóre sprawy, dręczące „szarego” czytelnika przy zapoznawaniu się z tą zawieruchą dziejową, o której jeden z jej uczestników, Boisy d'Anglas, powiedział w r. 1795: „W ciągu tych sześciu lat przeżyliśmy sześć wieków”.

Tragicznie ciekawa jest ewolucja, jaką przechodziły ideały humanitarne przywódców Rewolucji Francuskiej w obliczu postulatów, wysuwanych przez rzeczywistość kryzysowo-gospodarczą i kontrrewolucyjno-szpiegowsko-wojenną. Wolność polityczna okazała się niewystarczającą w obliczu głodu. Szlachetny kosmopolityzm rozplynął się jak mgła wobec konieczności obrony narodowej, obrony ojczyzny rewolucyjnej. Wiara w rewolucję światową, w siłę propagandy, która przetruci płomień przewrotu na ludy całej Europy, zafamała się wobec niedojrzałości socjalnej tych ludów. W emigrantach z innych państw, w ochotniczych legionach cudzoziemskich zaczęto węszyć szpiegów i „spisek mocarstw ościennych” („la conspiration de l'étranger”). W walce z tyranją despotyzmu zjawiała się „tyranja wolności” z trybunałami rewolucyjnymi, terrorem, masowymi wyrokami śmierci. Gdzie się podziała jutrenka swobody, którą tak namacalnie widzieliśmy promienną wiosną r. 1789? — może pytać z ironją wrogi rewolucji historyk Louis Madelin.⁵⁾

Ale czy taka właśnie ewolucja była koniecznością dziejową? Czy uprawnia ona do taniach uogólnień pesymistycznych? Czy musi nastąpić we wszelkich warunkach społeczno-politycznych, czy też jest tylko przejawem niedojrzałości społecznej klasy, która hegemonję swą usiłuje ratować terrorem? Pytania te wykraczają poza teren ściśle historyczny i niezawsze potrafią odpowiedzieć na nie najwybitniejsi nawet badacze Wielkiej Rewolucji Francuskiej. I ta właśnie niezakończoność, fragmentaryczność społecznie twórczych procesów tej rewolucji, socjologiczno-historyczne znaki zapytania, jakie zjawiają się na każdym kroku przy badaniu jej wstrząsających, tragicznych kolei — oto co sprawia, że dzieje jej tak nas fascynują, że czytanie Mathieza lub Lefebvre'a⁶⁾ może stać się punktem wyjścia do lektury wieloletniej.

5

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jedno fascynujące zjawisko, którego badanie umożliwia „la révolution inimmuable”; jest nim zagadka natury ludzkiej. Epoki przewrotów mają to dla siebie, że zmuszają ludzi do najwyższego napięcia woli roz-

4) Por. A. Mathiez: *La vie chère et le mouvement social sous la terreur*. Paris, Payot, 1927, str. 613.

5) L. Madelin. *La Révolution*. Paris, Hachette, 1911, 11 wyd., str. VII + 578.

6) A. Mathiez. *La Révolution Française*. Paris, Cölin 1922—7, 3 tomy, str. VI + 662. G. Lefebvre. R. Guyot, P. Sagnac. *La Révolution Française*, Paris Alcan, 1930, str. 583.



kiełzując jednocześnie wszystkie namiętności, toteż zarówno wielkość, jak małość zarysowują się wówczas w rozmiarach zwielokrotnionych.

Mało który z procesów dziejowych może wzbudzić tyle szacunku dla bezgranicznego entuzjazmu i ofiarności mas i jednostek, mało też który takim obrzydzeniem nas przejmie na widok machinacji różnych płotek, załatwiających pod płaszczykiem rozgrywek ideowych swoje porachunki i kombinacje — jak Wielka Rewolucja Francuska. „Nie znoszę ludzi” — wołają Sieyes, Danton, montagnardzi z Komitetu Ocalenia Publicznego. Od nieprzekupnej prostolinności Robespierre'a, Clootsa czy Romme'a z jej wszystkimi zaletami i wadami — poprzez żywiołowość Marata i Dantona — aż do takich „jouisseurs”, spekulantów i zwykłych szubrawców, jak jakiś Fabre d'Eglantine, Chabot czy Julien de Toulouse, mamy nieprzerwany ciąg odmian charakterów ludzkich, przyczem w miarę mniej lub więcej nagłych zwrotów w sytuacji politycznej ujawniają się najnie spodziewane aspekty tych charakterów (taki n. p. przywódca termidorjanów był... maratysta Fréchon, Fouché, którego samo nazwisko mówi za siebie, karjera Legendre'a i in.). Pod tym względem ciekawy jest u Thompsona rozdział o Fabre d'Eglantine'ie. Ale mistrzem w kreśleniu środowiska rewolucyjnego jest A. Mathiez („Autour de Danton”, „Autour de Robespierre”, „La révolution et les étrangers” i in.).

6

Bez względu na to, jak będziemy się zapatrywali na ludzi Wielkiej Rewolucji Francuskiej, jej przebieg i analogie, jakie nasuwa, jedno jest rzeczą pewną.

Hasła, sprecyzowane w Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z dnia 26. VIII. 1789 r., podeptane i wzgardzone w okresie powojennym w kilku antydemokratycznych krajach Europy, dziś, w obliczu stosunków, panujących w tych krajach, naberają znów rumieńców najwyższej aktualności.

Nie utracili jej one zresztą nigdy: dowodem tego stanowisko inteligencji wobec régence'ów „mocnych”, jak również upadek nauki, literatury i sztuki oraz nurt niezadowolenia, który drąży najszersze masy ludności pracującej w krajach antydemokratycznych.

Ideały Deklaracji Praw 1789 r. — wolność sumienia, zgromadzeń, słowa i dźwięku, równość wobec prawa, suwerenność narodu, kontrola administracji, zniesienie instytucyj, szkodliwych dla wolności i równości, prawo do oporu wobec ucisku i liczne inne, dążące do otoczenia pieczęcią Człowieka w społeczeństwie, wykazały swoją żywotność i niezniszczalność pomimo niedojrzałości wszystkich klas społecznych, jakie dotychczas dzierżyły berło władzy, do wcielenia ich w życie, pomimo tyranji ludzkiej oraz ton atramentu, jakie ku pognebieniu tych ideałów z różnych stron wylano.

Poprzez spiętrzenia konfliktów dziejowych Deklaracja Praw Człowieka zostanie jak krzew gorejący, ku któremu dążyć będzie umęczona przez dyktatorów ludzkość.

TADEUSZ HOLLENDER

LUDZIE i POMNIKI
KSIĄŻKA WIERSZEM

F. Hoesick Cena zł. 2-50

PAWEŁ MAKUTRA

MIASNICY

Fragment powieści

Przełazami czmychnęła wieść o szandarach i policji. Parobcy, którzy obrabiali Kurczybińskiego, wiali debrą do Hotubicy, aż pierdy grzmiąły. Baby poskracały psie łańcuchy, sprzątnawszy kłacze z kominów i zapalniczki, wyłaziły na próg i, niby tak z nudów, zochrały kupry o futryne.

Żarnowiecki, tęgi chłop, z dużą jak dynia głową, biegł obok posterunkowego i krzyknął:

— Wono nikoty ne bude dobre...

— Co mówicie? — posterunkowy Frelek zamrugał czerwonymi powiekami i pszczychnął.

— Wono nichy ne bunde dobre — powtórzył Żarnowiecki.

— Oj, pierunie was wi... co mówicie...

Stylu włókł się doktor Karszowski; był zmarnięty, zakatarzony i ledwo ciągnął nogami, zataczał się w ciężkiej, zabłoconej bundzie. Za doktorem, w pobożnej odległości, szli: wójt Góntara, sołtys, posterunkowy Łochniak z pieskiem i parobek wójta.

Gorbal nie otworzył drzwi, zasunął się na fest, przez podwójne szyby coś belkotał do sołtysa.

— Widzyny! — krzyczał sołtys.

— Koi traści?

Gorbal wszedł do sieni, koromesłem podparł niezbyt mocne wrota.

— Widzyny! Gorbal!

— Nu? szo?

— Daj koni na forszpam.

Sołtys podszedł i poglaskał ciężką, roboczą dłoń kłamkę.

Gorbal zatrzasnął drzwi do izby. Powyższyły okien dzieci, płaszcząc nosy, podziwiali posterunkowego z pieskiem.

— To jest puko, nie sołtys — powiedział posterunkowy Frelek, poprawił karabin na plecach i splunął wójtowi pod nogi. Doktor postawił walizkę na pniaczku, krzywiąc się, zabijał ręce. Wójt, dychawiczny grubas, w pięknej krymce, którą włożył na bakier, rozstawił nogi i klepiąc cholewy, krzyczał tenorem:

— W myśl ustawy, panie sołtys, którą winniście znać, to jest zaistnienie czynu karygodnego. Nie wywiązaście się ze swego zadania!

Sołtys poruszał tabacznym wąsem, skrobał czoło grubemi, zwalistymi palcami, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia i odpowiedź, powtarzał: — Ot... nieszczęścia. Aby tobi puł'pryszła.

Na podwórzu Tracza nie było nikogo, wyleniały pies skoczył do budy i skomiał. Chałupa zamknięta. Sołtys podszedł do komory, pchnął drzwi. Na stołku rymarskim siedział Tracz i coś tam majstrował koło szleji. Tracz wstał, zdejmując czapkę z głowy, zdążył jeszcze końcem buta rzucić worek na papuszkę, którą szykował do kraniania.

— Dawaj koni! — krzyknął odważnie sołtys.

— Aj, bożyńciu! — zajęczał Tracz — taż ja jizdyw wczera.

— Bez nikakich gwoździe! — krzyknął posterunkowy Frelek.

Tracz spokojnie rozsypał uprzęż, zawołał syna i razem wywlekli sanie spod szopy, stojąc z batogiem koło dyszla powiedział do sołtysa:

— Czekaj, czolowicze, krou tebe zalje. Sytyti solicyjskyj poti sastuchu pati...

— Ot, Jendruchu... ja tobi potim skažu — sołtys mrugnął i skoczył boczkiem na sanie i przygniótł nogi doktora. Żarnowiecki przysiadł się do posterunkowego Frelka i znowu zaczął dusić moraty:

— Dumajte, szczo to pomahaje na ti zlodiji?

— Dajcie spokój, pierunie. Ślinicie, cholera was wi...

Sędzia i protokolant stali już koło trupa. Sędzia palił papierosa, fukał dym dogóry i przechadzał się wartowniczym krokiem po ścieżynce. Trup koniokrada leżał twarzą do ziemi; plecy miał zbite do kości, na środku, między łopatkami, tkwił hak od brony. Druć kolezasty, okręcony dookoła szyi, trząsał się wybrzuszona pęta, przyziemny wiatr kuśdłaczył włosy, które nasiąkiły kolorem rdzy.

— No, wójcie, trzeba teraz go przewieść do kostnicy — powiedział sędzia, nie patrząc na ludzi; utkwivszy wzrok gdzieś tam, na woroniackiej górze — długo, oszczędnie wydmuchiwał dym.

— Niema tu kostnicy, panie sędzio — zameldował wójt.

— Uj, Boże Święty. Więc gdzie?

— U Andrijuczki, ona krewna go, więc tam można.

Wójt machnął ręką, jakby dawał znak chłopom, co mają robić. Naprzód zbliżyły się ciężarne baby, posplatawszy ręce pod zapaskami, bocianim kroczeniem, z udanym smutkiem okrążyły komisję. Za babami przyszły dzieci, w długich, ocierających kryzami wydęte pępki, cholewach, z zawisami pod nosem bąblistego kataru.

Za dziećmi, nurkując pyskami zwiewny śnieg, biegły psiaki na chwiejnych, giętkich nogach.

Tracz i Szczerba wrzucili trupa na sanie. Frelek obejrzał koniokrada, dotknął palcem cholewę, powiedział:

— On nietutejszy.

— Toż win Hryčka syn — tłumaczył Szczerba.

— Tyż, cholera, wicie — irytował się lutował księdzu i wyszedł. Andrijuczka, ukryta na piecu, nie mając co robić, iskała kotkę.

Ksiądz wcisnął się do sieni, coś tłumaczył parobkom, basowym, jak z beczki, głosem. Bęben znowu ruszył, hurkot wznażał się, ciżba prasowała ściany.

Jewdocha Łuć zdyszana wbiegła do alkierza, podsunęła ławkę do pieca:

— Kurczybińskoho pryweży na wasze podwira.

— Nu?

— Szukajut za wamy.

Jewdocha rzuciła Andrijuczce kozuch, z rękawami zawiniętymi na łokcie, myśląc o głodzie i chłodzie ukrytego w drewni Kaźmirka, dusiła przez papierowy lejek mleko do flaszki.

Wszedł posterunkowy Łochniak z piekiem, wszedł niespodziewanie. Jewdocha aż drgnęła. Łochniak usiadł na łóżku, nie zdejmując czapki, patrzył tępo przed siebie, wkońcu rzekł:

— Dajcie trochę mleka.

Jewdocha nałala mleka i podała całuszkę chleba. Łochniak pił mleko, cmoktał wąsy. Zmarznięte policzki, obciążone czarnym zarostem wzdymały się.

Pies Łochniaka, zważawszy kota na piecu, skrobnał pazurami polepę i z rozpędem skoczył na ławę, dał się po ścianie. Łochniak spojrział w ciemne zapiece.

Andrijuczka, wcisnąwszy głowę w ramiona, skręcona w kłębek, siedziała jak śpiąca kura. Z zielonej twarzy, zakutej strachem, patrzyły bez mrugnienia sine oczy.

— Schowajcie się na strych. Tu przyjdą... znajdą — powiedział spokojnie Łochniak; stał na środku izby i skręcał papierosa.

Raptem bęben umilkł. Parobek, który uderzył Horbackiego, wydarł się z dziesięciu babskich rąk z wydartym rękawem, biegł z wrzaskiem do przełazu.

Na zagumienkach, za groblą, w parcellanckich wadołach dzwoniły wiadra, narastał skrzekot sieczkań. Już się robił brudnawy, pachnący cierpkim gnojem, wieczór.

Frelek ćmaknął trzeci kieliszek, zasa-

— Naj siada, pan...

Frelek usiadł, strząsając wskazującym palcem cukier z mediwnyka, mrugał do dida Żarnowieckiego. Ksiądz zwał się na stół, rozparł ciężkie wały ramion, hamując czkawkę, powiedział cichutko:

— Napluwały w lice... Taka chudoba.

— Tak jest — przyznał Frelek, splunął. Smród zgęstniał niesamowicie. Diadyna, siostra młodej, Julka Onuczanska i Jewdocha Łuć, rzuciły starego Hanczara pod sufit. Stary łapał rękoma powietrze, rozwarłszy bezzębne usta, uradowany krzyczał:

— Oj, oj!... pidkiadky moi kochani!

W sieni dał się sołtys:

— Panie postoronkowy, czekajut na was!

Frelek ćmaknął trzeci kieliszek, zasa-

Artur Koestler,¹⁾ współpracownik liberalnej londyńskiej „News Chronicle“, zwiadał w miesiąc po wybuchu rebelii tę część Hiszpanji, która znalazła się pod władztwem zastępów generała Franco. Rezultatem ciekawej podróży, podczas której udało się angielskiemu publicyście dotrzeć do sztabu armji powstańczej, jest książka, posiadająca wybitnie dokumentarny charakter. Znajdujemy w niej niewiele osobistych spostrzeżeń autora. Koestler starał się ograniczyć do gromadzenia niewątpliwych faktów, zeznań naocznych i wiarygodnych świadków, wypowiedzi samych rebeliantów, dokumentów, fotografii i fac-similów. Wieje też z tej książki i niekłamana groza suchej rzeczywistości, pozbawionej wszelkiego słownego zdobnictwa.

...W Vigo, porcie Hiszpanji „narodowej“, wiszą po kawiarniach afisze z napisem: „Zabrania się mówić o polityce“ (str. 11).

...W Lizbonie, stolicy Portugalji, nie wolno wyładować nikomu, kto nie podoba się panu Gilowi, łącznikowi między juntą w Burgos a portugalską „Policie Internationale“. Na tej podstawie nie pozwolono wysiąść na ląd byłemu prezydentowi Argentyny, p. Albea (str. 12).

...Michał Granado, prefekt Badajoz, ranny w walce z rebeliantami, przekroczył granicę portugalską. Przez dwa miesiące przebywał w szpitalu, poczem otworzył sobie żyły scyzorykiem, przekładając śmierć samobójczą nad nieuniknione wydanie w ręce faszystów. Został jednak uratowany i naskutek interwencji Ligi Narodów przewieziony na terytorium Hiszpanji rządowej (str. 15).

...Dziesięciu obywateli portugalskich, skazanych lub podejrzanych przez policję o „działalność wywrotową“, zostało wydanych 24 sierpnia 1936 roku władzom powstańczym w Badajoz. Rozstrzelano ich tam, podkreślając jakby w ten krwawy sposób międzynarodową solidarność faszystów (str. 16).

...12 sierpnia 1936 r. Queipo de Llano oświadczył przed mikrofonem:

„Marxiści to dziłkie bestje, ale my — my jesteśmy rycerzami (caballeros). Senior Companys zasługuje, aby być zarzniętym jak świnia“ (str. 23).

...W Alcolea del Pinar niejaki pułkownik Palacios osobiście przesłuchiwał dziesięcioletniego chłopca, syna socjalistycznego radnego miejskiego. Chłopczyk nie chciał powiedzieć, gdzie się znajduje jego ojciec, a nawet w pewnym momencie pokazał pułkownikowi język. Ten wystrząsał z rewolweru położył dziecko trupem na miejscu (str. 113).

Saturino Barneto, komendant oddziału milicji, zbiegł z Seville, złożył pod przysięgą następujące zeznanie:

„W Garmona falangiści zamknęli 25 rodzin robotniczych, razem z kobietami i dziećmi, w domu, który następnie podpali-

¹⁾ Arthur Koestler. L'Espagne ensanglantée. Un livre noir sur l'Espagne. Paris, Editions du Carrefour, 1937; str. 172 i 4 nł. i 48 stron fotografii.

ukryta na piecu, nie mając co robić, iskała kotkę.

Ksiądz wcisnął się do sieni, coś tłumaczył parobkom, basowym, jak z beczki, głosem. Bęben znowu ruszył, hurkot wznażał się, ciżba prasowała ściany.

Jewdocha Łuć zdyszana wbiegła do alkierza, podsunęła ławkę do pieca:

— Kurczybińskoho pryweży na wasze podwira.

— Nu?

— Szukajut za wamy.

Jewdocha rzuciła Andrijuczce kozuch, z rękawami zawiniętymi na łokcie, myśląc o głodzie i chłodzie ukrytego w drewni Kaźmirka, dusiła przez papierowy lejek mleko do flaszki.

Wszedł posterunkowy Łochniak z piekiem, wszedł niespodziewanie. Jewdocha aż drgnęła. Łochniak usiadł na łóżku, nie zdejmując czapki, patrzył tępo przed siebie, wkońcu rzekł:

— Dajcie trochę mleka.

Jewdocha nałala mleka i podała całuszkę chleba. Łochniak pił mleko, cmoktał wąsy. Zmarznięte policzki, obciążone czarnym zarostem wzdymały się.

Pies Łochniaka, zważawszy kota na piecu, skrobnał pazurami polepę i z rozpędem skoczył na ławę, dał się po ścianie. Łochniak spojrział w ciemne zapiece.

Andrijuczka, wcisnąwszy głowę w ramiona, skręcona w kłębek, siedziała jak śpiąca kura. Z zielonej twarzy, zakutej strachem, patrzyły bez mrugnienia sine oczy.

— Schowajcie się na strych. Tu przyjdą... znajdą — powiedział spokojnie Łochniak; stał na środku izby i skręcał papierosa.

Raptem bęben umilkł. Parobek, który uderzył Horbackiego, wydarł się z dziesięciu babskich rąk z wydartym rękawem, biegł z wrzaskiem do przełazu.

Na zagumienkach, za groblą, w parcellanckich wadołach dzwoniły wiadra, narastał skrzekot sieczkań. Już się robił brudnawy, pachnący cierpkim gnojem, wieczór.

O krwawiącej Hiszpanji

li. Nikt nie mógł się uratować; ale krzyki palonych żywcem zdawały się rozbrzawać przez wiele, wiele godzin, jakkolwiek dawno już musieli się oni podusić. I być może, że tylko w naszych uszach dzwicząca jeszcze te jęki, ponieważ jesteśmy teraz bardziej obłąkami, niż normalni...“ (str. 114).

Tego rodzaju fakty, wydarzenia, informacje i rewelacje dziesiątkami znajdują się w tragicznej „czarnej księdze o Hiszpanji“. Do najbardziej ciekawych jej fragmentów należy zaliczyć ten, który zawiera dane, traktujące o przesładowaniu protestantów hiszpańskich przez oddziały rebeljanckie (str. 123—125). Widać z nich jasno, jak bardzo zależy faszystom na nadaniu „religijnego“ charakteru toczącej się na półwyspie iberyjskim wojnie.

Koestler rozbił swą książkę na dwanaście rozdziałów, porządkując w ten sposób przebieg, pracowicie przez siebie zebrany materiał. „Afryka zaczyna się za Pirenejami“ — brzmi tytuł rozdziału, w którym autor odmalował gospodarczo-społeczna sytuację Hiszpanji przed wybuchem rebelji. Inne fragmenty poświęcone są szczegółom przygotowania i przeprowadzenia tego wybuchu. Odrębnie omówiona jest straszliwa rzeź w Bajadóz w sierpniu 1936 r., która tak oburzyła m. inn. François Mauriac'a. Specjalny rozdział poświęcił Koestler drobiazgowej analizie legendy o „bohaterach Alkazaru“, którzy w świetle faktów wyglądają prostopu na tchórzki, chowających się za plecami dzieci, tchórzy, splamionych nadto takimi postępkami, jak zgwałcenie 14-letniej dziewczynki (str. 98). Na kilkunastu stronach omówił też autor „L'Espagne ensanglantée“ działalność „szeryfów zamętu“. Doskonala znajomość przedmiotu pozwoliła mu zdemaskować m. inn. fałszerstwa szeregu „poważnych“, faszystowskich publikacji.

Książka Koestlera zamyka wspaniała, patetyczna odezwą Romain Rollanda do ludów świata. Nie została ona dotychczas, jak się zdaje, przetłumaczona na język polski. A przecież można się przekonać na jej przykładzie, że wielki pisarz jest wciąż najczujniejszym sumieniem nie tylko Francji, ale całego kulturalnego świata. Nikt inny nie potrafiłby, tak jak on, wzywać ludzkości na pomoc hiszpańskim ofiarom faszystów, nikt inny w literaturze obu półkul nie posiada tej skali głosu, niczyj styl prostopu nie jest tak odwnętrznie przesycony bólem i tragizmem.²⁾

²⁾ Na marginesie: Gdyby ktoś drugi zechciał uderzyć w ten ton rollandowski — jakże żałośnie musiałaby wypaść podobna próba. „On ne peut rien faire de grand, sans risquer le ridicule“. (Niepodobna zrobić nic wielkiego, nie ryzykując śmieszności) — powiedział Wiktor Hugo. Krok poza patosem Romain Rollanda rozciąga się dziedzina mimowolnego komizmu. Wystarczy przejakrawić jedną cechę, aby otrzymać karykaturę. Wiedział o tem Anatol France, określając genre rollandowski w znanym powiedzeniu o pastozie między brzydką żoną a pianinem.

Jakże donośnie brzmi wezwanie wielkiego pisarza! Teraz, gdy republikańska armja Hiszpanji znajduje się na jednym z frontów w odwrocie, podobnie, jak wówczas, gdy eskadry faszystowskie dokonały pierwszych nalotów na Madryt. Posłuchajmy tragicznego głosu Romain Rollanda. Posłuchajmy potem radosnego jazgotu katarunek faszystowskiej propagandy, wyolbrzymiających każdy doraźny sukces rebeljantów do rozmiarów „decydującego zwycięstwa“. Lepiej, niż kiedykolwiek, zrozumieemy wówczas stare hasło, nakaz wytrwania wśród trudnych dni:

„Höher die Fahne trotz alledem!“

Wyżej wzniesmy nasz sztandar, gdy wszyscy (stko przeciw nam!

Zygmunt Jarosz

Zemsta dziejów

Jeden z rozdziałów „Rozdroża“, poświęconego, jak wiadomo, kwestji chłopskiej, kończy Dąbrowska w ten sposób: „A jeżeli stan rzeczy nie był tam lepszy, niż w Polsce, to Francja zapłaciła za to Wielką Rewolucją, a w Hiszpanji dziś jeszcze zemsta dziejów zbiera swój straszny haracz. Myśmy tej zemście dziejów dotąd się wykręcali i obyśmy nigdy nie byli zmuszeni oglądać jej oblicza“.

Książka Jerzego Boreiszy „Hiszpanja“ (Warszawa, Nowa Biblioteka Społeczna, 1937), jest logicznym powiązaniem przyczyn i skutków, naukowym i obiektywnym uzasadnieniem „zemsty dziejów“, jako dialektycznej konieczności w rozwoju stosunków hiszpańskich. Dziwne, że takie właśnie przedstawienie sprawy nie wymaga od autora prawie żadnych komentarzy, prawda z całą swoją niezbitą i oczywistą siłą narzuca się sama, jako jedyne przekonanie.

Niektóre tylko momenty Boreisza podkreśla raczej z pewnym sentymentem literackim, niż z widoczną tendencją.

Kwestja rolna jest osiową sprawą Hiszpanji, zaniedbanie jej stało się niewątpliwie ową głęboko leżącą przyczyną, na której przez wieki nawarstwiały się możliwe do matematycznie dokładnego obliczenia — skutki: struktura gospodarstwa, społeczna i polityczna. Kwestja robotnicza jest tylko dalszą konsekwencją faktu, że gospodarstwa rolne o obszarze do 1 hektara, nie przynoszące ani jednej pesety dochodu, stanowią 80% ogólnej ilości gospodarstw, że olbrzymi napływ proletariatu rolnego do miast przeradza się tylko w gromady „ludzi marginesowych“, ludzi, którzy nie mając żadnej myśli organizacyjnej, posiadali jedno silne, niezagłuszone pragnienie, jedną ideę — być wolnymi, zrzucić z siebie duszące więzy organizacji państwowej, na którą nawet człowiek, nie znający Marxa i nie chcący go znać, nie znalazłby innego określenie od tego, że była narzędziem ucisku i wyzysku. Tylko tam.

Dlatego można zrozumieć tak charakterystyczne dla Hiszpanji zjawiska, jak F. A. I. i C. N. T. W tej samej dziedzinie leży wyjaśnienie owego fenomenu, jakim są walczący w szeregach czerwonej armji Baskowie, chłopci, właściciele średnich i karłowatych gospodarstw. „Arcykatolickie królestwo“ zrozumiało nareszcie, że pierwszym rządem, który o sprawach ludu pomyślał uczciwie i zaczął od podstaw, był rząd frontu ludowego w r. 1936. I wiele mówiący jest fakt, że bezpośrednio przyczyną wybuchu powstania „narodowych generałów“ było — uchwalenie reformy rolnej. Być może, że historia nie jest „magistra vitae“, może światem i życiem nie rządzą prawa Vica, ale w każdej przeszłości jest zawsze coś, o czym warto pamiętać. Bo chyba wieszczami można nazwać słowa Percy Shelley'a, który w chwili (1820 r.), gdy w dalekiej Hiszpanji bohaterski generał Riego podniósł bunt przeciw reakcji i bezprawiu — pisał:

„...Anglja śpi jeszcze. Czy nikt jej do-
(tąd nie wołał?

Dzisiaj Hiszpanja ją wzywa, jak Wezu-
(wjuż,

Co przesywającym grzmotem budzi
(Etnę“.

Anglja dziś jeszcze nie słyszy, wbrew własnym żywotnym interesom. Gorzej, cała Europa zapominała już o historii trzech republik hiszpańskich, z których każda była przykładem dla walczącej europejskiej demokracji.

Trzecia republika jest koniecznością dziejową Hiszpanji, walka o nią, to nie od-ruch, to nie tylko walka o władzę, to tłumione przez wieki potężne parcie sił żywotnych narodu, to chłop, którego przekonanano, że broni swojej ziemi zarówno przed nawrotem fali reakcji i krzywdy społecznej, przed widmem św. Inkwizycji, przed wyzyskiem międzynarodowych kapitałów, jak przed atakami włoskich dywizyj i nalotem niemieckich samolotów.

„Albowiem historia narodów nie zna nic cenniejszego, aniżeli wolność“.

Maria Fidererówna

LOLA SZERESZEWSKA

G A Ł Ę Z I E

F. HOESICK Cena zł. 1.50

ZE SZTUKI HISZPAŃSKIEJ: GOYA (1746 – 1828)



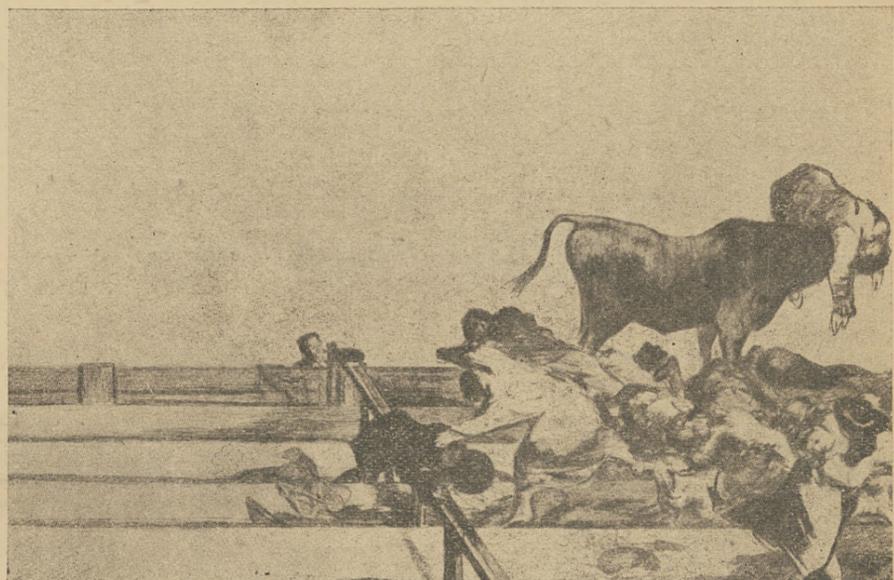
Rozstrzelanie



Nieszczęścia wojny



Najazd mameluków



Walka byków

Madagaskarjada

Przygoda Ksawerego Pruszyńskiego z majorem Lepeckim — sławetny już „casus Pruszyński⁽¹⁾” — zmusza po pierwsze do niewesołych rozmyślań nad łatwością, z jaką można dziś w Polsce zrobić huczek dookoła własnej osoby (w danym wypadku zrobili go z powodzeniem obydwaj panowie); po drugie, komplikuje sprawę recenzowania ostatnich dwóch książek mjr. Lepeckiego: „Madagaskaru” i „Maurycego Augusta hr. Beniowskiego⁽²⁾”. Książki są istotnie niezbyt wartościowe, ale mjr. Lepecki, po przygodzie z Pruszyńskim, gotów każdą krytykę rozumieć jako szykanę osobistą, recenzent zaś, pomny na „casus Pruszyński”, zabierając się do pisania, mimowoli trawestuje pewne zdanie z „Beniowskiego” (ale nie Lepeckiego, lecz Słowackiego):

„Jak to niebezpiecznie

Z panem Lepeckim być nie dosyć grze-

(cznie.

Aby uniknąć niebezpieczeństw, należy postępować tak, jak Stanisław Rogoź w „Wiadomościach Literackich”: zatyłować artykuł państwowotwórczo „Madagaskar — wyspa niegdyś nasza”, streścić w dwustu wierszach książkę o Beniowskim, wstrzymując się od komentarzy, o drugiej zaś — wielkiej monografii historyczno-geograficzno-etnograficznej Madagaskaru — napisać zaledwie 29 wierszy i zakończyć artykuł życzeniem: „Jakżeby się była przydała taka książka hr. Beniowskiemu, suwerennemu emigrantowi na Madagaskarze!”.

Być może, takiemu Beniowskiemu, jak go przedstawia Lepecki — romantycznemu Sarmacie, „szczerzej polskiej duszy” —

¹⁾ por. uwagi w „Sygnałach”, nr. 42, z dn. 1 kwietnia.

²⁾ Mjr. Mieczysław Lepecki, Madagaskar. Kraj. Ludzie. Kolonizacja. Warszawa, „Rój”, 1938; str. 309 i 3 nl. i 17 tabl. Zł. 12.— Portrety. Maurycy August hr. Beniowski, zdobywca Madagaskaru. Lwów, Książnica-Atlas, 1938; str. 212 i 12 tabl. Zł. 6.40.

przydały się „Madagaskar” niby „Ołtarzyk Złoty”; kto wie jednak, czy prawdziwy Beniowski — awanturnik w wielkim stylu — nie odsunął go, powtarzając za Słowackim: „Dopókiś młody, bawią cię ballady...”. Bo rzeczywiście obydwie książki mają charakter nieco balladowy, i w związku z tem nasuwa się od razu pytanie zasadnicze, determinujące całą krytykę; jeśli je postawimy jasno, unikniemy wszelkich możliwych nieporozumień, wszelkiej „wojny o Madagaskar”, jak powiada w „Gazecie Polskiej” Michał Pankiewicz, obrońca mjr. Lepeckiego w walce z Pruszyńskim. Pytanie brzmi: jaki cel wytknął sobie mjr. Lepecki, opracowując obydwie książki: naukowy czy impresyjno-literacki? Jeśli naukowy — to sprawę przegrał; jeśli literacki — jest o tyle o ile w porządku, niepotrzebnie tylko wówczas zaopatrył swój „Madagaskar” w te „dodatki”, które nadają mu pozory naukowości, a w gruncie rzeczy kompromitują autora.³⁾ „Dodatkami”, mającymi świadczyć o metodzie jakoby naukowej, są: „index” (słowo to drukuje mjr. Lepecki w pisowni łacińskiej) i „bibliografia”. Ta ostatnia zawiera sporo pozycji gazeciarskich (artykuły z pism francuskich, wychodzących w Tananariwie), a więc zanadto lekkich, by je zakwalifikować jako źródła naukowe; wątpliwą jej ozdobą jest także pozycja p. t. „Lepecki Mieczysław mjr.: Maurycy August hr. Beniowski, zdobywca Madagaskaru”. Bibliografia wywiera wrażenie owej karafki, o której powiedział Norwid, że wystarczy ją przechylić, by się z niej napić, i tym sposobem nie nastraja do życzliwej oceny wysiłku autora. Przekorny czytelnik sięga żartem do staruszka Orgelbranda naprzykład, i widzi, że istnieją takie poważne dzieła o Madagaskarze, jak Ellisa, Mace Descartes’a, Lacaille’a, Mac Leod’a, Oliver’a — wprawdzie dawniejsze, ale solidne, obszerne, niektóre z nich wielotomowe. Żadnego z tych dzieł mjr. Lepecki nie spożytkował. Więc

³⁾ Kwestję tę dowcipnie omówił w „Słowie” Ksawery Pruszyński.

czytelnik myśli sobie, że skoro mjr. Lepeckiemu chodziło bardzo o „aparatus naukowy”, powinien był i on zajrzeć do Orgelbranda i, gdyby nawet lektura wymienionych autorów zdała mu się nazbyt uciążliwą, mógł był wstawić do swej bibliografii przynajmniej ich nazwiska, aby zwiększyć wagę naukowości.

Takich i tym podobnych docinków może jednak mjr. Lepecki uniknąć, jeśli stanieniemy na stanowisku, że obydwie jego książki — to „literatura”, wrażenia subiektywne, romansowość, balladowość — że powtórzę słowko Słowackiego. Istotnie. Jakaż jest geneza dzieł mjr. Lepeckiego o Beniowskim i Madagaskarze? Mam przed sobą wywiad „Nowego Głosu” z mjr. Lepeckim p. t. „Polskie rogatywki na Madagaskarze”. Czytamy:

„Pyta pan, co skłoniło mnie do zainteresowania się postacią Beniowskiego? Bezpośrednim bodźcem był upominek, jaki otrzymałem od poety Tuwima. Były to czterotomowe pamiętniki Beniowskiego w pierwszym polskim wydaniu anno 1797, które się ukazały w Warszawie jako przekład z oryginału francuskiego; jest to dzisiaj biały kruk. Zainteresowałem się wtedy niezwykle przygodami mego bohatera. No, i powoli zacząłem pisać, czyniąc jednocześnie archiwalne przygotowania”. Mamy więc autorytatywne zdanie samego pisarza o tajnikach jego twórczości. Poeta Tuwim zapłodnił Lepeckiego, zaciekał go „jego” bohaterem. Można sobie wyobrazić, jak to poeta Tuwim zrobił, ile słów we krwi nawyrzucił, gdy — wręczając upominek — wołał w poetyckiej pasji: Czytaj to! Zobaczysz, jakie tu dzwonią dziwotwony, jakie tu gonia dziwożony, jak tu przez jary, przez chojary gna koń straszliwy, koń szalony... To epos, najwspanialszy epos!

Tak począł się „Maurycy August hr. Beniowski”. Przygotowania archiwalne nie mogły zatrzeć pierwszego wrażenia, stłumić owego bodźca, jakim stał się dla mjr. Lepeckiego żywioł poety. Bo weźmy drobny przykład, który zastanawia zaraz na początku książki, w drugim jej rozdziale, opisującym sensacyjną ucieczkę Beniowskiego z Kamczatki. Rzecz odbywa się w Bolszerecku, którego gubernatorem jest pułkownik Niłow. „Posiadał” ten pułkownik — pisze Lepecki — żonę, trzy córki i syna. Kobiety bardzo polubiły dworskiego kawale-

ra, jakim był Beniowski... ponadto najmłodsza córka Anastazja, zakochała się w nim nazabój i pewnego razu oświadczyła mu to wręcz... Stosunek Beniowskiego do Anastazji był dość dziwny. Niewątpliwie lubił ją, ale jednocześnie pamiętał, że jest żonaty i że ożenić się po raz wtóry nie może”. Otóż ta Anastazja, mimo że Beniowski podczas buntu w Bolszerecku został pośrednio sprawcą śmierci jej ojca, że w oczach jej „okazał się kłamcą, wiarołomcą i człowiekiem niegodnym”, postanawia uciec z nim w męskim przebraniu. „Hrabia zgodził się na to skwapliwie, gdyż niewątpliwie lubił swoją miłą przyjaciółkę”. Ale dlaczego ona zapomniała mu krzywdy? „Cóż? — rozstrzyga Lepecki: — miłość wszystko wybacza”.

Nie czyniąc przygotowań archiwalnych, musimy stwierdzić nasamprzód, że jeśli Anastazja ma po rosyjsku imię Afanasja, to po polsku powinna się nazywać Atanaszja (grecka „nieśmiertelność”, jak Zofja — „mądrość”); następnie zaglądamy do artykułu Modelskiego w „Słowniku biograficznym” i dowiadujemy się, że Niłow nie był pułkownikiem, lecz kapitanem, nie był gubernatorem (gubernator, to przecie nasz wojewoda), lecz komendantem, co się zaś tyczy Beniowskiego: „wyolbrzymiał on wypadki, podawał zmyślone sceny. Afanaszja np. słynna w „Pamiętnikach” córka Niłowa, rozwiewa się jako mit bolszerecki, nie istniała tam bowiem”. Przykład drobny, jak powiedziałem, mimo to znamienny. Uderza on czytelnika już na wstępie książki i wbrew jego woli usposabia krytycznie do całości, co więcej: zniechęca do dalszej lektury. Dzieje się to dlatego, że i „Beniowski”, podobnie jak „Madagaskar”, ma być w założeniu swem dziełem niby naukowym — „portretem”, wydanym przez „Książnicę-Atlas” w tym cyklu, który świetnie zapoczątkował Boy „Marysieńka”. Bo choć „Beniowski” nie jest obciążony „indexem” i bibliografią (a szkoda!), figuruje przecie jako „źródło” w bibliografii „Madagaskaru”.

A więc — revenons à nos moutons. „Madagaskar” nie jest pracą naukową, ani „Beniowski” „portretem” historycznym.

⁴⁾ Konduktorzy tramwajowi w Warszawie mówią podobnie: Czy pan posiada bilet?

NOWOŚCI POETYCKIE

Edward Kozikowski. Pięciokłos. Warszawa, Wł. Michalak, 1937.

„Pięciokłos“ Edwarda Kozikowskiego, będący plonem dwudziestu zgorą lat trudnej i niezawsze zdobywczej twórczości, obrazuje pięć kolejnych etapów. Od „Płomyka świecy“, zawierającego utwory z lat 1912—1917, do ostatniego tomu „W towarzystwie wierzby“, wiedzie droga poprzez manowce młodopolszczyzny, przez niewątpliwie wpływy ekspresjonizmu do samodzielnie wypracowanego i wykrystalizowanego stylu. Od drugiego tomu „(Tęsknota ramy okiennej“) uwidoczni się ów własnościwy wypracowany styl, stając się z biegiem lat coraz bardziej klarownym. Nie jest tu może ważna faktura formalna, ale

wieka, bezwzględnie konkwistadora w swoim rodzaju, jednakże niezbyt poważanego przez społeczeństwo, skoro zarzucano mu i oszustwa i handel niewolnikami. Konkwistador urasta w książce mjr. Lepeckiego do wyżyn bohatera narodowego.⁵⁾ Ale bohaterstwo narodowe rozumie mjr. Lepecki swoiście, niezmiernie charakterystycznie dla naszych czasów: „Był on postacią wyjątkową, która powinna budzić w nas nie tylko zaciekawienie, ale i dumę. Nie był to bowiem awanturnik, czy poszukiwacz przygód, lecz pionier kolonialny, którego dzisiaj nagrodzilibyśmy orderem i na którego cześć urządzilibyśmy akademje i przyjęcia“. Ostatecznie, order nadajemy i nieboszczykom, a jeśli mowa o akademji, istnieje PAL, do której droga otwarta tym, co piórem służy ojczyźnie.

Jerzy Wyszomirski

⁵⁾ Sprawa pochodzenia Beniowskiego jest nieco zawiła: raczej to Węgier niż Polak. Mjr. Lepecki broni zapalczywie jego polskości, i w pewnym miejscu używa emocjonalnego argumentu, dość zabawnego przez zestawienie „wielkich imion“: „Byłoby nonsensem nazywać go Węgrem, jak nonsensem byłoby nazywać Włochem Napoleona, Niemcem — Wincentego Pola, Włochem — Andriollego, Francuzem — Chopina“.

ów nurtujący wszystkie niemal strofy niepokój, owa stonowana pasja, która doskonale uwypukla różnorodną naturę poety. Zdarzenia blade napozór, a mające coś z wielkości rzeczy małych, związane z dniem codziennym, z metafizyką sprzętów i przedmiotów, z niepokojącą regeneracją przyrody, z ukochaniem gór i krajobrazu beskidzkiego, znalazły w Kozikowskim czujnego obserwatora. Toteż, kiedy patrzymy dzisiaj z perspektywy czasu na ogrom przeżyć i doznań, zawartych w „Pięciokłosie“, książka czyni wrażenie notatnika lirycznego, zakrojonego na większą skalę. Skalę tem większą, im większa jest czujność i subtelność konstytucji lirycznej Kozikowskiego. Jest w całej twórczości poety jakiś niespokojny powiew, który każe wędrować niezmiernie szlakami, wiodącymi chyba na horyzont. W każdym zdarzeniu i opisie wyczuwa się niezwykłą pasję wyłonienia z rzeczy realnych tego momentu ponadrealnego, który jest tylko dostępnym czułym naturom lirycznym i dzieciom, choć urzeczywistnienie zamierzenia może łatwo zmilć czytelnika. Zamierzenie poetyckie tem trudniejsze, że nie mające nic wspólnego z poetyką awangardową. Toteż główny nacisk został położony na stronę „treściową“ odniesień lirycznych.

Wzruszające dzięki swej bezpośredniości są uliryzowane rozmowy Kozikowskiego z napotkanymi ludźmi na niezmiernych szlakach wędrowki. To są właśnie wędrowki w poszukiwaniu przyjaciół. U podłoża owej chęci serdecznego zbliżenia i zgłębienia rzeczy leży swego rodzaju imperjalizm liryczny. Stąd humanizm, najszersze pojęty w wierszach Edwarda Kozikowskiego.

Trudne zadanie poetyckie, uwidoczniące się dzisiaj szczególnie wyraźnie, niezawsze mogło być zrealizowane. Dlatego owa pasja twórcza spowodowała czasem potknięcia, polegające na zbyt dalekim, a może nie celnym osiągnięciu kulminacyjnego momentu poetyckiego. Stąd częste budowanie utworów na rozgałęziających się, wbrew świadomości autora, dygresjach i niezawsze jasnych koncepcjach wizualnych.

Gdy mowa o „Pięciokłosie“, niepodobna pominąć twórczości społecznej Kozikowskiego, tem ciekawszej, że zmierzającej własnymi drogami w kierunku zgłębienia krajobrazu wewnętrznego człowieka. Najważniejsze jest jednak, że głęboko szczerze odniesienia liryczne autora „Pięciokłosa“ są przekonywujące.

I jeszcze jedno. We wstępie do „Wymarszu świerszczów“ czytamy: „Pociesza mnie jedno: ten czy ów, nieproszony, przychodzi do mnie, siada nawprost i mówi o każdym moim smutku i mojej radości. Nie odpowiadam nic, ale z pożegnania uścisku dłoni wiem, że zdobyłem przyjaciela“ (1925 r.).

To prawda. „Pięciokłos“ nie tylko jedna czytelników. Jedną także przyjaciół.

Jerzy Kamil Weintraub

Jadwiga Gamska Lempicka. Okno na ogród. Lwów, A. Krawczyński, 1938; str. 62 i 2 nl.

Wiersze charakteryzują doznania natury przeważnie religijnej. Autorka wydała niedawno tłumaczenia średniowiecznych pieśni; tom omawiany da się określić nastrojem właśnie — średniowiecznym: patrzcie na świat przez mglistość spraw ostatecznych. Punktem wyjścia — pesymizm: „Nie warto — o nic — uwierzyć ludzkie — trudzić się nie warto“. Dusza tragiczna, oscylująca między lękiem przed światem a miłością życia, dąży do jakiejś syntezy. Znajduje ją w łagodnej rezygnacji, odkrytej poza sobą: w przyrodzie.

Troska o bezpośredniość wyrazu powoduje lekceważenie osiągnięć formalnych. Prostota graniczy nieraz z najwprostszymi, wynikłymi z braku dystansu wobec przeżyć osobistych. Rozwój możliwości artystycznych jest powolny, lecz stały. Tym razem wyraża się większa — w porównaniu z tomami poprzednimi — zwięzłość i udoskonaleniem rytmu i asonansu.

Edward Csáto

WASZE ZDROWIE

wygoda, dobre samopoczucie wymagają ochrony w postaci skutecznego środka higieniczno-zapobiegawczego — takim środkiem jest ODOL.

ODOL PŁYN DO UST chroni zdrowie, orzeźwia i daje świeży oddech.

OSTATNIE NOWOŚCI „ROJU“

POWIEŚCI HISTORYCZNO-BIOGRAFICZNE

A. NEUMANN — Drugie cesarstwo	cena zł. 15.—
J. M. THOMPSON — Przywódca wielkiej rewolucji francuskiej	„ „ 10.—
L. STRACHEY — Ludzie epoki Wiktorji	„ „ 8.—
D. LLOYD GEORGE — Wspomnienia wojenne, 2 tomy	„ „ 12.—

LITERATURA ŚWIATOWA

A. HUXLEY — Niewidomy w Gazie, 2 tomy	zł. 14.—
S. UNDSET — Olaf syn Auduna i jego dzieci, tom IV	„ 8.—
R. M. DU GARD — Dzień przyjęć dra Thibault i Sorellina	„ „
M. PROUST — Strona Guermentes, t. III i IV	„ „
E. M. FORSTER — W słońcu Indj	zł. 9.—
U. SINCLAIR — Socjalizm na raty	„ 12.—
FR. RINTELEN — Tajemniczy intruz	„ 6.—
K. GRAHAME — O czym szumią wierzby	„ 7.—
I. P. PAWŁÓW	
Wykłady o czynności mózgu . cena zł. 12.—	

LITERATURA ROZRYWKOWA

G. O. BAXTER — Drewniana broń	cena zł. 5.—
G. O. BAXTER — Szalona jazda	„ „ 5.—
V. BAUM — Wypredaź	„ „ 6.—
P. BENOIT — Towarzysze Odyssa	„ „ 5.—
H. OYEN — Kręte ścieżki	„ „ 5.—
A. POLTZER — Tajemnicza przygoda	„ „ 5.—
P. G. WODEHOUSE — Pod gazem	„ „

PISARZE POLSCY

CZ. J. CENTKIEWICZ — Biała foka	cena zł. 8.—	STEFAN BALICKI — Czerw	cena zł. 6.—
STANISŁAW GRABSKI — Ku lepszej Polsce	w opr. „ „ 10.—	TADEUSZ KONCZYŃSKI — Kobieta z innej planety	„ „ 7.—
TADEUSZ KATELBACH — Za litewskim murem	„ „ 6.—	ZOFJA KOSSAK — Laska Jakóbową	„ „ 5.—
JERZY KUNCEWICZ — Republika globu	„ „ 7.—	T. DOŁĘGA-MOSTOWICZ — Trzy serca	„ „ 8.—
JERZY OSTROWSKI — Widły Wisły i Sanu	„ „ 12.—	MAGDALENA SAMOZWANIEC — Wróg kobiet	„ „ 5.—
JERZY OSTROWSKI — Historje przedhistoryczne	„ „ 6.—	MIECZYSLAW SMOLARSKI — Iskry na szablach	„ „ 7.—
M. B. LEPECKI — Madagaskar	„ „ 5.—	CZESŁAW STRASZEWICZ — Przeklęta Wenecja	„ „ 6.—
	w opr. „ „ 12.—	JAN STRASZEWSKI — Życie codzienne i świąteczne Waszmość Pana i Jejmość jego małżonki	„ „ 5.—
MELCHJOR WAŃKOWICZ — C. O. P. Ognisko siły — Centralny Okręg Przemysłowy, III. wyd.	„ „ 15.—	JAN WAŚNIEWSKI — Po dniówce	„ „ 5.—
	„ „ 5.—		

SERGJUSZ PIASECKI

PIĄTY ETAP

cena zł. 10.—
poprzednio wydano:

KOCHANEK
WIELKIEJ NIEDŹWIEDZICY
cena zł. 10.—

Powieść przemytnicza, która przed skazanym na śmierć bandytą otworzyła bramy świętokrzyskiego więzienia.

JAN ST. BYSTRON — Księga imion w Polsce używanych

KONRAD GÓRSKI — Literatura a prądy umysłowe

JULJUSZ KLEINER — W kręgu Mickiewicza i Goethego . cena zł. 6.—

JULJAN KRZYŻANOWSKI — Od średniowiecza do baroku „ „ 10.—

MARJA UKNIEWSKA

STRACHY

cena zł. 8.—

ZACHWYCAJĄCY DEBUT!

Pamiętnik girlsy.

KSIAŻKI DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH — NA ŻĄDANIE WYSYŁAMY KATALOGI

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“ WARSZAWA, KREDYTOWA 1.

Konto w P. K. O. 9.880

FRANCISZEK SIEDECKI

DROGA DALEJ*

Za przepierzeniem równe oddechy śpiących, czasem ktoś się poruszy przez sen, zakaszła lub coś zagada. Świeca dopaliła się i zgasa. Przedranny powiew wpada do dyżurki, chłodzi rozpaloną głowę, przekrwione oczy. Leżeć, nie myśleć, nie dręczyć się więcej, tylko snuć obraz za obrazem, strofę po strofie, wiersz po wierszu. Niech niosą, niech kołyszają; jak wtedy. Przedranny powiew chłodzi głowę. Fujarka gdzieś na moście dzwoni... Niech niosą, niech kołyszają — jak wtedy. Przecinają się dwie linie, dwie smugi obrazów. Tej drugiej boi się, znów u jej końca czeka udręka, a sił niema dzisiaj. Lecząc podstępnie wkłada się plusk fali, i daleka sylwetka wybrzeża, i cień pochylony nad wodą. Morze spokojne, gwiazdy odbijają się w wodzie. Ustala strzelanina. Wiosłował. Było bezgranicznie cicho, żadnego frontu, żadnej wojny, tylko tętniąca sieć gwiazdzista i ten komisarz na przodzie łódki i Pietrow, który nigdy jeszcze nie słyszał wierszy... Płynęły, cicho, cicho szeptane, niepojęte i obce. Najprzód rozgniewał się, myślał, że jakieś dziwactwa, potem się przestraszył: przypomniała się daleka wieś, ciemna chata, wieczorne szepty o babce-czarownicy... A potem słowa przeniknęły do czaszki, do mózgu, i zaraz uderzyły o wodę, zadrgały razem z gwiazdami, zadrgały razem z Pawłem, zakółowały, porwały, poniosły... Dalej, wyżej, słodziej niż stara huśtawka w sadzie w Lipnikach. Coś się splątało w miarowych uderzeniach wiosel — komisarz urwał nagle, trochę zmieszany i zwykłym już głosem zapytał: „Co podoba się?”. I przeniósł chłopca z oddziału do siebie.

Potem długa, ciężka droga. Spoza czarodziejstwa dźwięku wyłoniły się słowa, zdania, spoza nich wylaniały się obrazy, spoza obrazów znów się coś wylania... i im dalej brnął w ten nowy świat, tem konieczniejsza, ale i dziłsza i bardziej bolesna stawała się wędrówka. Wśród kwiatów, na jasnym łąkach otwierały się zagnęła czarna jama, przez wiosenne lasy i sady przebiegał martwy wiatr. W śpiew fujarki wplątał się grzechot kości. Odkryty przez Pawła świat był piękny, piękniejszy nad wszystkie, a odstraszący, tragicznie rozdarty, pełen zgrzytów. Przejęty zgrozą i zachwytem, Paweł przedzierał się przez gąszcz, zacięty, uparty, choć bezradny, niewiedzący, co z tym skarbem robić, jak go przesiać, jak przyjąć, posiadać. Półdziki prostak, nieokrzesany chłop z głuchej, zapadłej wsi Lipniaki pod Rybińskiem... — Ta droga stokrót cięższa, niż walki na Krymie, głodne marsze z Pieriekopu nad Rion, z Gruzji na Białoruś, tygodnie jazdy na dachach wagonów.

„Kaprys losu“ — orkan, który się rozpętał nad tą ziemią, wyrwał go z mrocznej chaty, rzucił w rozszalałą, wezbrana rzekę i — jedną cichą krymską mocą chłusnął mu w twarz zdradliwie powodzą gwiazd i wierszy Błoka. Do dziwnych, nieodpowiedzialnych i niepowołanych rąk trafiły w tych czasach kartki z książek, niedotrąwionych przez pożary Szachmatowa i tysiąca innych pańskich dworów. W tych czasach analfabeci uczyli się czytać — jak się zdarzyło — na plakatach Majakowskiego, na klasykach greckich. Nikt nie chciał i nie mógł odkładać „na potem“ i brać się do szkolnych czytanek. W tych czasach głęboki myśliciel, subtelny artysta nosił na rękach pęcherze od rąbania drzewa, ciemny chamus dostawał migreny — jak filozof po ciężkiej pracy umysłowej. Wplątał w bolesnie rozdarta, wyrafinowaną sztukę Błoka, opętany przez nią, ciemny chamus Pietrow mocował się, krzawił o nią ręce, ogłądał się za pomocą i równie czekał od samego poety wyjaśnienia, a przynajmniej pomocy w swej zgrzytce (nie wiedział, że to on właśnie potrzebniejszy jest ginącemu z rozpaczki Błokowi), chciał iść do niego, bał się, pisał i darł jakieś niedołążne, sążniste epistoły, a teraz mu już zmarły nie da żadnej odpowiedzi, nie dopomoże, nie opowie o niczym, a sam sił nie ma, droga jeszcze daleka, strasznie jeszcze daleka i tętno wali w skroniach i przed oczyma latają czerwone plątki... Paska nie znał weramonu, miał własną metodę zwalczania migreny... Leżeć, leżeć cicho, nie myśleć — snuć tylko obraz za obrazem, strofę za strofą, niech niosą, kołyszają. Poranny powiew chłodzi głowę. Fujarki głos na moście dzwoni. Zaśpiewały słowiki, słowiki... I w kwieciu stoja już jabłonie... Zobaczył Lipniaki, sad, chatę... Kto mógł powiedzieć, że cały Błok to jeden mroczny koszar? U kogoż znajdziesz tyle słońca, gwiazd, kwiatów, tyle słodkiej, pieszczącej muzyki... Zamknął oczy. Biała noc majowa. Ktoś po nocy uparcie kołocze do wrót... Wstawaj, chodź! wychodź w pole, na łąkę, w las... błękitnawa mgiełka za plecami... rzęziłki powiew, tanezny korowód... kwietne wianki i czysty śpiew kobiet... Leżeć cicho na froncie, obłok płynie, płynie, niesie, kołysze...

Ale godniej jest za ciężkim pługiem
Stapać rankiem w białym morzu ros...
W sali za przepierzeniem zaczynał się

*) Dokończenie „Fragmentów o Błoku“. Por. „Sygnały“, nr. 27, 30 i 40, „Skamander“, styczeń i październik, 1937.

gwar. Chłopcy budzili się, wstawali niepokojni, żeby się przysposobić przed wycieczką. Przyczepić oderwany rękaw. Wykombinować łomeć chleba.

Potem nadszedł Marczun. Paweł zwócił się z tapczanu, poszedł na salę.

— Sam dzisiaj poprowadź. Uważaj tylko. I nie spóźniać się. Ja nie mogę dziś, jestem chory, mam pilne zajęcia.

Kiedy przyszedł na Oficerską i przepchał się przez zalegający tłum, trumnę wynoszono już z bramy. Dzień był odświętny, bardzo cichy, upalny. Niebo skupione, jasne, bez chmurki. Stał na ławce przed domem (na tej samej ławce...), uczył się gzymsu — zobaczył zgóry: w tłumie płynię powoli biała wyspa kwiatów... i biała martwa twarz, ta sama twarz (trumna przepływała u nóg chłopca), tylko jeszcze bielsza niż wtedy, w nocy... i tak samo oczy zamknięte... Kondukt ruszył. Zsunął się z muru i wśliznął w pierwsze szeregi. Starsza wytworna dama o biegających oczach zachnęła się na widok chłopca w ogromnych, rozklapanych buciorkach, polatanym niedołążnie frenczu. — Jak oni bezczelnieją z każdym dniem, jak się rozpychają... — myśli gorzko pani Gippius. Paska speczył się, ale inni nie marszczyli się na niego, nawet ktoś nieznamy uśmiechnął się smutnie do Pawła. Kondukt przeszedł kilkanaście kroków i utknął; powstało zamieszanie — opatrzone się, że trumna otwarta, pośpiesznie niosą pokrywę, chcą zamknąć trumnę i Paszcę wydaje się to jakimś szyderstwem, i odruchowo ostrym głosem pieriekopskiego żołnierza woła: Nie wolno! — i zląkł się: czyż się głośno, gwałtowny płacz i krzyknął jeszcze jeden głos i jeszcze jeden: Nie wolno! Nie trzeba!... Zabrano wieko, kondukt znów ruszył.

Paska wycofał się na sam koniec. Kondukt szedł powoli. Dzień był odświętny, cichy. Białą wyspę kwiatów niesiono na ramionach daleko, daleko, przez wielkie, rozległe miasto. Zmienił się smutni tragarze. Skupionym, jasnym błękitem płynęły różowe, złociste obłoki. Kołysała się biała wyspa kwiatów. Nad niewielkim, podłużnym dołem zatrzymali się tragarze. Na świeżo wyganietej, wilgotnej ziemi położono Aleksandra Aleksandrowicza Błoka. Znalazła się teraz i pokrywa od trumny.

Cicho śpij, towarzyszu wędrówki mej...
W dalszą drogę bez Ciebie mi iść...

...Znów wraca zgrzytota, stara udręka. Jak pogodzić to wszystko ze sobą? To, co w tej poezji takie bezcenne, z tem, co w niej staje naprzekór całej istocie Paszki? Jak pogodzić tę miłość i natchnioną aprobatę, radosną apoteozę życia, tę męską walkę o jasne, piękne życie, tę nienawiść do mroków — z mrokami, z mgłą mistyki, z chorobliwymi fantasmagorjami? Co z niej przyjąć? Błok sam przeczuwał konflikt między jego poezją a tymi, którzy ją będą kiedyś dziedziczyć... Błok mówił przecież o tym przyszłym młodzieńcu, który w nim odkryje nie apostoła rozpaczki, lecz zwiastuna triumfu radości i światła... Ale jak, jak uwolnić tę poezję od klebiących się w niej mroków, jak oddzielić w niej ziarno... od czego? Bo nawet to, co tak boleśnie rani Pawła, nawet to nie jest przecież tylko plewą. Nawet w samym pięknie słów tych tkwią jakieś wielkie wartości. Jakie wartości? I jak odgrodzić je od czarnych, zatrutych ziaren? Czy można je odgrodzić? Kto rozwikła to wszystko?

Nic już nie wyjaśni Zmarłemu i Zmarły mu nic już nie wyjaśni.
List przyszedł zapóźno...
Inni? — inni nie więcej wiedzą od Pawła...

Kiedys, na jakimś zebraniu zebrał się na odwagę, zapytał. — „Sformułowane przez towarzysza Pietrowa pytanie każe nam bardzo, bardzo głęboko zastanowić się. Problem przyswajania przez proletarij rjat dziedzictwa kulturalnego epok minionych jest niewątpliwie najdonioślejszą...“. Tak, oni sami dopiero „uświadomiją sobie problem“, dopiero „zaczynają się zastanawiać“, a ja — ja ani jednej myśli nie umiem doprowadzić do końca... Więc jakże tu iść dalej, co zrobić?

Poczuł ogromne znużenie po bezsennej nocy, po dalekiej powolnej drodze w upale, poczuł straszne wyczerpanie nerwowe. Znów wracał ból głowy. Zrobiło się strasznie źle, gorzko... Może wogóle nie ma sensu, może cała ta poezja wogóle jest nam niepotrzebna? A sam Błok!... — „Jabędzie życie poety“, który nas od razu porzucił... I poco było tu pchać się, na ten pogrzeb? Czy nie lepiej prosto odrzucić, potępić i tę poezję i tego Błoka... Mamy tylu swoich! Biedny, Biezimiński... — prosto, łatwo, zrozumiale... Poco taki wysiłek, taka męka?...

— Te, obywatelu, a skądże to tyle ludzi? —

Przed Paską stał zażywny, nieźle ubrany gość: bardzo czysty kołnierzyk, spodnie zaprasowane, melonik, twarz czerwona, pod oczami worki, brzuszki... Paska zjeżył się.

— Skąd? A z pogrzebu.

— Czyjegoż to pogrzebu? — zagadnął znowu tamten.

— No! Błoka... — rzucił całkiem już opryskliwie Paska, ale przechodzeń aż się zatoczył.

— Błok? Błok? Wielki Boże! Gienrich Gienrichowicz umarł? Taki bankier!...

Paszcę pociemniało w oczach. Melonik poleciał do ryszotoku, struchlały przechodzeń ujrzał przed sobą nalaną krwią twarz, napięte skuły. — Poczekaj!... ja ci dam bankiera, poczekaj!... Ty, skatina... — charczał Paska. Tamten skoczył na jezdnię, na przeciwną stronę. Tam wplądł na tę starszą wytworną panią o biegających oczach. Stał na rogu przecznicy niezdecydowani, gestykulowali z oburzeniem, pokazywali sobie Paszkę. Jeszcze paru przechodniów się zatrzymało. Paska czekał, co będzie. W pewnej chwili tamtych dwoje zmilkło, odwrócili się w przeciwną stronę, potem dama pociągnęła jegomościa w bok, w ruchach miała przestrach i obrzydzenie. Zaintrygowany Paska podszedł bliżej, tamci znów się zamiotali, ale Pietrow już nie zwracał na nich uwagi — z głębi przecznicy szło kilkunastu brudnych, zapylnych wyrostków: niektórzy boso, niektórzy bez czapek, niektórzy wprost w łachmanach... Pietrow uśmiechnął się: jego kadra wracała z wycieczki.

Marczun dojrzał go już, uformował holołkę w czwórki (szesć!). — Lewa, lewa! — Pietrow „przyjął defiladę“, ale „dowództwo“ zostawił Marczunowi, tylko sam się dołączył do dzieci i wchodził w rytm ich kroku, powoli odzyskiwał spokój.

— Nie, my się go nigdy nie wyrzekniemy — myślał. On jest nasz, nasz, nasz! Ich już wogóle niema, skończyli się. Jeżeli i my się go wyrzekniemy — przepadnie. Nam nie wolno zaprzepaścić nic, ani jednego ziarna. Choćby uratowanie jego kosztowało niewiarygodnych, nadludzkich trudów... Przecież nie boimy się pracy, umiemy pracować... I ja się nie boję, ale — czy umiem? A no cóż! Trzy lata temu nie umiałem jeszcze czytać i pisać...

W O CZ A C H Z A C H O D U

ANDRE MAUROIS O BARINGU

Świetna muzyczka angielska Ethel Smyth wydała entuzjastyczną ksiązkę o swoim długoletnim przyjacielu Maurycem Baringu, który (jak każdy wybitny Anglik), jest również przyjacielem Maurois'a. Omawiając „Mauricianą“ pani Smyth, Maurois opowiada kilka anegdot o Baringu, które charakteryzują szczodroblowość i fantazję powieściopisarza angielskiego.

Baring miał kolekcję obrazów Carmon-tette'a. Jednego dnia jeden z jego przyjaciół Francuzów powiedział: „Oto co by się przydało muzeum Carnavalet“. — „Doprawdy, pan tak myśli? To je zaraz posłę“... — Nazajutrz obrazy były już w drodze.

Kiedy w czasie zamieszek na Cyprze, została spalona biblioteka tamtejszego gubernatora Ronalda Storsa, Baring posłał mu jeszcze tego dnia telegram: „Biblioteka w drodze. Baring“. Jednym gestem pozabawił się wszystkich swoich pięknych i cennych książek.

Ten poważny i niemłody już pisarz katolicki Anglii obchodził urodziny w bardzo oryginalny sposób. Co roku urządza dla przyjaciół przyjęcie w jednym z hoteli w Brighton (przypada to w czasie zimy), poczem w ubranu rzuca się do morza.

W czasie jednego obiadu, kiedy rozmowa się nie kleiła, Baring podpałił firanki, aby ożywić gości.

Kiedy w podróży nie mógł zmieścić płaszcz w walizie, wyrzucił go przez okno, jak niedopalek papierosa.

WIERSE CHIŃSKIE

Soulié de Morant cytuje kilka urywków z najslawniejszych poezji chińskich.

Oto najstarsza znana pieśń z XXIV wieku przed naszą erą, nosi tytuł: Pieśń, która towarzyszy pracy na roli.

„Słońce wschodzi: my pracujemy.
Słońce zachodzi: my odpoczywamy.
To my sami kopujemy nasze studnie, by móc

To my sami orzemy nasze pola, by móc

A potęga cesarza nacóz nam potrzebna?..

Z XV wieku przed naszą erą zachowała się żalonna skarga:

„O słaba, słaba energia,
Nie wystarczasz do naszej pracy.
Nie możesz odepchnąć nędzy.

Służysz tylko do przedłużenia mąk.
O marne, marne jedzenie,
nie pozwalasz nam utyć,

a służysz tylko do tego, by odepchnąć

(śmierć“.

Po trzydziestu pięciu wiekach miliony Chińczyków mogą ją śpiewać bez zmian.

DZIEJE LITTENA

W obozie koncentracyjnym w Dachau „powiesił się“ dr. Hans Litten, prawnik, syn profesora prawa w Królewcu. Nie był komunistą, ani nie należał do żadnej partji politycznej; publicznie ostro krytykował komunistów, ale zanim Hitler został kanclerzem, Litten jako prawnik bronił tych, którzy zostali napadnięci, zranieni, czy zabici przez hitlerowców.

Od 1933 roku Litten przebywał w więzieniu w Spandau, dokąd został odstawiony

OBIAD
GŁODOMORA

cyrkowe składa się
z... powierza i smętnych
rozmyślań. Dzieci wolą
FOSFATYNĘ FALIERA

F. F. PIERWSZA PAPKA DZIECKA

— A na miejscu, gdzie mało nie zatłukłem tego kupczyka, będzie wielki plac imienia Aleksandra Błoka. Tam jest piękny, rozległy widok — tam kiedyś pomnik stanie. Chłopcy, dziewczęta nasze będą się uczyć Jego wierszy, uczyć się rozumieć i kochać Jego poezję. Nauczcie się rozumieć, kochać, podziwiać Jego życie — wspaniałe! bohaterkie! Poznają jego sens i wagę... Bo jest rzeczą doniosłą, podniosłą — kiedy nawet łabędzie...

Dzień się kończy. Niebo chmurzy się i pali w lunach zachodu i chłodny wiatr pociągnął od Newy, powracających z pogrzebu przejął dreszczem. Garstwa zamrożonych, głodnych dzieci idzie powoli swoją daleką, trudną drogą.

bez sądu, a potem przewieziony do obozu koncentracyjnego w Sonnenburgu, został tak zmasakrowany, że z trudem wrócił do życia; ledwo widział i słyszał, utracił również pamięć.

Wtedy Gestapo groząc jeszcze większymi torturami, zażądało od niego, aby zeznał, że klient jego, którego bronił w głośnym procesie Felsecka z r. 1932, był winny. Litten, obawiając się, że nie wytrzyma tortur, napisał do Gestapo, dezawuuując wszystko, cokolwiek w przyszłości pod wpływem tortur może powiedzieć. 10 sierpnia wzięto go do Berlina i poddano torturom. W dwa dni później ukazała się w prasie notatka, że Litten przyznał się do winy i współdziałania w sprawie Felsecka. Littenowi udało się skomunikować ze światem i przesłać te słowa: „Fałszywe oskarżenie, wydobyte na mękach; odwołuję je“. Następnie przeciął sobie arterję i zażył trucizny. Hitlerowcy odratowali go, uważając, że leży w interesie państwa, aby zmusić Littena do wydania tajemnic swoich klientów. Upłynęło cztery lata tortur, widocznie daremnych, skoro zbyt lojalny adwokat „powiesił się“, właśnie gdy naskutek interwencji prawników angielskich miano go wypuścić na wolność. („The New Statesman“, 19. III.).

ANGLICY I GEN. FRANCO

W dziale korespondencji „The New Statesman“ z dnia 19 marca czytamy następujący list:

„Sir, — nieco więcej niż rok temu, kiedy przez kilka dni zatrzymałem się w Gibraltarze, zauważyłem, że oficerowie marynarki i wojsk lądowych wyrażali się z entuzjazmem o Franco i dawali mu wszelką pomoc. Ciężkie niemieckie działa przeprawiano przez cieśninę bez przeszkód. Włoskie samoloty przelatowały nad zabronionym obszarem Gibraltar. Dowódcy powstańców hiszpańskich, winowajcy setek egzekucyj, które odbywały się w najbliższym sąsiedztwie, byli przyjmowani codziennie w towarzystwie i na obiadach, a równocześnie oficerowie angielscy nie odpowiadali na ukłon Anglikowi, jeżeli oświadczał się za rządem madryckim. Kiedy ośmieliłem się powiedzieć, że hiszpański program faszystowski zawiera również żądanie owdarcia cieśniny i zdobycia francuskiego Marokka, powiedziano mi, że generał Franco nie jest faszystą, ale gentelmanem i grywą w golfa“.

HANDEL WŁOSKI

Signor Guarneri, włoski minister handlu zagranicznego zdał sprawę przed włoską izbą z pracy w swoim ministerstwie za ostatni okres. Import zostanie jeszcze bardziej ograniczony, aby zlikwidować zagraniczne długie handlowe. Handel zagraniczny będzie ograniczony do tych państw, które są zdecydowane wymienić towary za towary.

Signor Guarneri nazywa to uwalnianiem się ekonomji włoskiej z więzów systemu wolnego handlu, i przepowiada, że wzmocze to również handel zagraniczny, jako że coraz więcej dwustronnych układów handlowych wejdzie w życie.

Nowości literackie

Czesław Straszewicz. *Przekłeta Wenecja*.
Warszawa, „Rój”, 1938; str. 269 i 3 nł.
Zł. 6.—

Powieść Straszewicza jest pisana chaotycznie i z egzaltacją, stylem nie wolnym od usterek (w rodzaju przeciwstawnego „a” zamiast „ale”) — metodą dalekich skojarzeń przy znacznej ruchliwości umysłu, co przypomina n. p. tok opowiadania w takich „Dzwonach z Bazyli” surrealisty Aragona. Autor jakgdyby nie ma do swego tematu cierpliwości, wciąż też wybiega jak histry przed kondukt swoich postaci, robi kilka wół porównań, złapie kilka ryb przed siecią i cofnie się zadowolony. Tymczasem za każdym razem wyrządza akcją powieściowej niedźwiedzią przysługę, odbiera jej bowiem wszelką konsekwencję, zostawiając na placu trochę wątpliwej nonszalancji w miejsce uczciwej obserwacji, której się zwykło od powieściopisarza wymagać.

Tematem „Przekłetej Wenecji” jest małżeństwo Niemki Elzy Fryze, pochodzącej z rodziny ziemiańskiej, która optowała na rzecz Polski, z polskim dyplomatą Aleksandrem Michnowiczem. Elza broni się przed tem małżeństwem, którego konieczności nikt nie widzi (czytelnik też nie), nie kocha bowiem swego narzeczonego i fakt wyjścia za Polaka byłby nawet ciosem dla zmarłego ojca Elzy, militarysty i szowinisty niemieckiego. W tle akcji ukrywa się postać Willega Rota, ukochanego Elzy, który zostaje postrzelony w czasie tajemniczego przekradania się przez granicę. Willemu grozi sąd doraźny. Elza nic nie robi dla uratowania swego kochanka, ale zniewolona jakąś automatycznością zabiegów Aleksandra o jej osobę ulega tej napaściwej i wstretnej lubieżności przyszłego męża, który ją ze względów bardzo egoistycznych w to małżeństwo zabiera. Wyjeżdżają w podróż dyplomatyczno-poślubną do Wenecji. Tu następują sceny zupełnie absurdalne. Nawinęła się bowiem postać Viorici Papp, żony rumuńskiego przemysłowca, która przeżywa obsesję reinkarnacji, ubrdała sobie bowiem, że Wenecja była kiedyś w szesnastym wieku jej ojczyzną; wówczas nie była ona nawet kobieta, lecz młodzieńcem, imieniem Ippolito. Nerwowość Viorici wymaga jeszcze stan naprężenia i rozdwojenia w psychice Elzy, stąd Wenecja jest dla niej przekłeta. Viorica, jak się później dowiadujemy z korespondencji, uspokoiła się, mając zostać matką, przez co autor daje nam do zrozumienia, że Elze czeka to samo. Dziecko widocznie jest u histeryczek, które dużo nabroją przeciw realnemu porządkowi w świecie, uniwersalnym rigolotem. Michnowiczowie powracają do kraju. Tu następują dobrze narysowane sceny zazdrości Sokolowskiego, przyjaciela Aleksandra, o Elze. Sokolowski od początku małżeństwa tamtych dwojga przeżywa nadwrażliwie utratę dziewictwa przez dziewczynę i spala się w żulościach. Elza w obliczu grożącej Willemu kary śmierci za zabójstwo w czasie owej przeprawy przez granicę — postanawia znowu uciec od męża, żeby ratować swoją miłość i swoją niemieckość, ale Aleksander ma na nią dobry sposób: samochód. Potrafi ją zajeżdżyć do orgazmu. 180 klm. na godz. Na tem się też kończy.

Autor potraktował żywoty temat małżeństw mieszanych, zwłaszcza polsko-niemieckich, o tak sprzecznych patriotyzmach, — za lekko. Wszystkie konflikty kończy w volapüku sportowo-dyplomatycznym, nie starając się rozwiązać choćby jednego zagadnienia. Uniknął przez to mentorstwa, ale wzamian dał niewiele. Przytem jako Polak może przesolił w bezstronności, używając polskiemu dyplomacie tytuł cech ujemnych; prawda, ma to być powieść psychologiczna, trochę à la maniere grotesque, nie przykładajmy więc miary tak sztywnie wykrochmalonej do tego, co chce wyrazić! Ale z drugiej strony jej intelektualizm i dowcip jest znowu za kusy, żeby te zamierzone braki okupić. Jaka jest na to rada? Napisać inną powieść, lepszą. Miejmy nadzieję, że autor to potrafi, po gruntownym wczesaniu swojej prozy.

Pola Gojawiczyńska. *Słupy ogniste*. Tom pierwszy. Warszawa, J. Mortkiewicz, 1938; str. 432. Zł. 10.

I w tej recenzji zaczęę od zagadnienia natury formalnej, od sposobu pisania autorki, która swą dobrze pod względem architektoniki związaną prozą potrafi wlać wiele zainteresowania w odległe i nieinteresujące nawet czytelnika — środowisko. Bo czy można sobie wyobrazić ludzi mniej powabnych niż mieszkańców mieszczańskowiejskich, jakichś rzeźników malomiasteczkowych, znajdów jakoby podręczonych z pańskiego domu i potem chowanych przez wieśniaków, w rodzaju Piotra, bohatera „Słupów ognistych”? Autorka wiele uwagi poświęca pragmatyzmowi działań tego chłopca, który dzięki wrodzonym zdolnościom wydobyla się ze środowiska, w którym się znalazł. Piotr bezwiednie idzie jakby za głosem krwi, szukając drogi do „pańskości”, cieśla samouk, budowniczy, przedsiębiorca. Robi karierę, jeśli chodzi o wynikanie pomyslnych dla jego życia faktów

— niekoniecznie przekonywającą. Wartości jego są bowiem pokazywane z zewnątrz jako rezultaty wpływu na otoczenie, nigdy zaś jako wewnętrzne oświetlenie, błysk inteligencji i uczucia. Tak, że bohater pozostaje raczej niemłym okazem karjerowicza, którego nie potrafi uratować zdawkowy już w naszych powieściach patriotyzm, budzący się dokoła pewnych dat. Ale to byłaby niesłuszna ocena, gdyby kwalifikację postaci, z którą pisarz współprzeżywa opisywaną rzeczywistość, przenosić na niego samego. Gojawiczyńska jest powieściopisarką rasową, w szerokim nurcie opowiadania ożywia wiele postaci w ramach chłodnego, rzeczowego obiektywizmu; sprężyny działań, ściśnięte w swej sile wywołują skutków potrafi długo przytrzymać pod powierzchnią, zanim pozwoli im się rozkręcić z nieomylnym dla akcji rezultatem. Do takich momentów n. p. należy fakt wiarołomności Marcelki, żony Piotra, która powiła mu córkę spłodzoną z kim innym, z czeladnikiem ojca, Michałem. Kompozycyjnie odnajdujemy ślady i konieczność takiego stanu rzeczy, postacie są budowane spójnie w stosunku do wypadków, stanowią z niemi jeden nierozłączny element. Może tylko w formie zarzutu da się zauważyć, że autorka obciążając drobiazgami i tak już obciążony tok opowiadania, nadużywa trochę cierpliwości czytelnika, gdyż mimo wszystko środowisko nie jest na tyle interesujące, aby szczeblom działań nieciekawych postaci, samej ich fakturze poświęcać tyle miejsca. Nie można przecież z zatknięcia wiechy na domu rzeźnika robić „Tunełu” Kellermana.

Piotr Witkosz, mimo swego nieprawego i niewiadomego pochodzenia jakgdyby urodził się pod dobrą gwiazdą. Począwszy od momentu, w którym rzucono na jego pieluszkę złoty pieniąż w dworze, z którego dzięki aluzjom autorki pochodzi, jako syn dziedzica i panny z miasta, — wnosi szczęście ludziom, którzy się znaleźli w promieniu jego działania. Po twardej i hartującej młodości w chacie poczciwych wieśniaków, żeni się z urodziwą córką rzeźnika w miasteczku, zyskując przez ów związek przywiązanie nie tylko żony, ale i teściowej, która się kocha w chłopcu nie mniej od swej córki. Piotr przezwyższa szybko onieśmielenie młodości i pierwsze niepowodzenie miłosne, doznane od nauczycielki, zyskuje opinię człowieka, który się lubi „obkładać babami”, z ich uwielbienia czerpie soki, potrzebne mu do owocnego działania w życiu. Żonę kocha i ma jej wrażliwość, tylko różnica inteligencji okazuje się skazą na tym związku, któremu ostatecznego blasku dodaje miłość Michalina, matki Marcelki, odznaczającej się wybitną urodą i większą niż córka inteligencją. Zresztą dziwny ten stosunek nie znajduje ujścia w jakimś śmielszym czynie, pozostaje drażniącą podnieć dla obu stron. Piotr bogaci się, dokształca w swym fachu budowniczego, zyskuje powodzenie i uznanie. Wówczas w drogę mu wchodzi po raz wtóry owa nauczycielka, z którą przed laty wiązała go pierwsza tęsknota chłopca. Antonina mimo drobnej ułomności jest pociągającą kobietą, rozumną i wielkoduszną. Łączy ich w dodatek robota polityczna, są to ostatnie miesiące wojny światowej i pierwsze dni budzenia się do życia państwa polskiego. Po raz pierwszy zarysowuje się poważniejszy konflikt w domu Piotra. Mężczyzna nie chce rezygnować z żadnej kobiety; w obliczu przenoszenia gospodarstwa do Warszawy, gdzie się ogniskują jego interesy, zdobywa się na gest zabrania ze sobą Marcelki, która jest mu już właściwie niepotrzebna. I teraz przychodzi do drugoczęstego wyznania. Jej córka Michalina nie jest córką Piotra, lecz Michała, który jeszcze przedtem zabiegał o względy dziewczyny i przed ślubem Piotra posiadał ją, bezładnie stęsknioną zresztą za Piotrem. Jak wiadomo dylematy etyczne nie były w rodzinie rzeźnika najmocniejszą stroną jej członków. I potem prawdopodobnie Marcelka, zaniedbywana przez męża, zdradzała go z Michałem. Najmocniejszy cios dla dumy Piotra Witkosza został wymierzony, gmach samowiedzy i dobrego poczucia własnej wartości, zbudowany na mylnych przesłankach, runął. Na tym momencie krytycznym w rozwoju charakteru głównej postaci w książce, kończy się pierwszy tom opowiadania. Krzepka natura Piotra czeka na możliwość podźwignięcia się z chwilowego upadku.

Autorka niewątpliwie sprzyja tej postaci i kreśląc linię rozwojową jej życia, od bosonogiego wyrostka do quasi-inżyniera, afirmuje postawę Piotra. Nie podzielam jej entuzjazmu, nie wierzę w talent, któryby pozostawiony sam sobie od ślamazarnego dukania z elementarza doprowadził do takiego opanowania wiedzy technicznej, by liczyli się z nim inżynierowie, przystępujący do spółki w przedsiębiorstwie. Człowiek tego pokroju może przewodzić fachowcom, to prawda, ale wówczas bywa też tylko sprytnym macherem, wciągającym do swego działania elementy całkowicie pozazawodowe. Od takich cudownych dzieci z domowym wykształceniem niestety roi się w naszym społeczeństwie. Uwagi te naturalnie wykraczają poza formalną ocenę dobrej w ogólnym rachunku — powieści.

Marjan Promiński

Dr. Janina Garbacowska. *Kultura umysłowa Polski w dobie Napoleońskiej*. Lwów, St. Malinowski, 1938.

Autorka w swartym i przejrzystym wykładzie odmalowuje klimat epoki napoleońskiej, wskazuje na łączność tej epoki z hasłami gasnącego oświecenia i na przenikanie jej idei w rodzaje romantyzmu. Poszczególne rozdziały zaznajamiają czytelnika ze stanem oświaty i nauki polskiej w tym czasie, z ówczesnymi ogniskami kultury umysłowej w kraju, ich zasięgiem, rolą i oddziaływaniem. W osobnych rozdziałach omawia autorka „pierwszą emigrację”, znaczenie dziejowe legionów Dąbrowskiego, ich atmosferę kulturalną, ich postawę etyczną wobec rozgrywających się zdarzeń politycznych, ich ideę niepodległościową i orientację demokratyczną.

Młodzież w rozprawie Garbacowskiej znajdzie jasny i pełny obraz ówczesnej rzeczywistości polskiej, przypatrzy się zmierzchowi kultury szlacheckiej i narodzinom nowej warstwy, która niebawem weźmie na siebie odpowiedzialność za „poziom” naszego życia — narodzinom inteligencji.

O cenzurze filmowej

Praktyka naszej cenzury filmowej ani przez chwilę nie przestaje być przedmiotem bacznej uwagi sfer zainteresowanych. Poszczególne nakazy, zakazy i wskazania podlegają skrupulatnej analizie i wciąż nanowu pada nieuniknione pytanie: dokąd zmierzamy? Normy stosowane przez cenzurę filmową odbiegają od norm przyjętych przy ocenie innych przejawów życia kulturalnego i produkcji przemysłowej. Praktyka czynników cenzurujących jest nietylko okrutna, ale i dziwaczna. Przeglądając rosnącą z tygodnia na tydzień listę filmów zakazanych lub pociętych, trudno oprzeć się uczuciu przynębienia. To niemetodyczne szaleństwo wyrządziło już mnóstwo krzywd rzetelnej pracy filmowej i pozbawiło widza polskiego niejednego szczerego wzruszenia. Od lat kilku świeci się w Polsce dziwaczne, niesamowite misterjum nożyc cenzorskich, jakiś obrzęd inkwizycyjny, zastanawiający swą ponurą zapamiętałością i lekceważeniem wszelkich głosów opinii publicznej. Procedura inkwizycyjna jest tajna, wyroki zapadają niespodziewanie i nie są oparte na żadnych wyraźnych sformułowaniach. Statystyka inkwizycyjnych filmów za okres ostatni jest wyjątkowo przerażająca. Niema takiego instytutu meteorologicznego, któryby przewidział kaprysy cenzuralnej pogody. Zazwyczaj nożyc zaczynają działać w wypadkach najmniej spodziewanych. Formułka o względach bezpieczeństwa publicznego, która najczęściej osłania ich codzienny wandalizm, nabiera w tych warunkach zagadkowego, wszechobejmującego znaczenia. W tej rozkładowej atmosferze traci się poczucie śmieszności, poczucie absurdu, najprostszego, najbardziej elementarny zmysł rzeczywistości. Każdy, choćby najbardziej nieumotywowany zakaz cenzury staje się drogą rozszerzającej wykładni czemś w rodzaju prawa zwyczajowego i niemożliwym do przebycia zasięgiem kolczastego drutu. W środowisku filmowym narasta nieznośna, serwilistyczna psychoza niepewności i strachu. Cenzura cierpi na przesterzliwość, traktuje film, jak urodzonego przestępcę przeciwko prawu, ustrojowi i moralności, zaś branża filmowa czujnie wnika w jej intencje, dostosowuje się do nich i pogłębia każdy odroch niechęci cenzora. W ten sposób utrwalają się precedensy, jakich nie zna żadna inna dziedzina naszego tak bardzo krępowanego życia kulturalnego, rozrasta się monstrualna hagjografia filmu polskiego. Każde słowo zapisane na taśmie dźwiękowej nabiera znaczenia symbolu, staje się niebezpieczną aluzją, grozi zamachem na podstawy życia społecznego lub ustalone świętości. Niesympatycznie przedstawiony oficer jakiegś tam anonimowej armii zagraża autorytetowi narodowych sił zbrojnych, cierpiący żołnierz jest chytrze zamaskowanym ładunkiem propagandy defetystycznej. Wszystko, co zahacza choćby najogólniej o problemy społeczno-polityczne, jest naturalnie tabu. Chyba, iż miarodajna pieczęć „made in Germany” staje się naoczną gwarancją, że film nie zawiera rozkładowych miazmatów. Nic dziwnego, że w tych warunkach film o Zoli, odznaczony w Ameryce złotym medalem za poziom artystyczny i tendencję, jest w Polsce nie do przyjęcia, bo mógłby zasugerować widzom niepokojące przekonanie, że istnieje oficerowie-krzywoprzysięzcy. Jeszcze gorzej jest z „Drogą powrotną” według Remarque’a, autor ten bowiem jest w Niemczech bardzo źle widziany i przebywa na emigracji.

Cenzura z całą świadomością utrwała w środowisku filmowym atmosferę niepewności i strachu. Producent i importer zaczynają się obawiać panicznie wszystkiego, co pachnie „problemem”. Wietrzą niebezpieczną aluzję tam nawet, gdzie nie dołża jej dojrzeć fanatyczny biurokrata. Wszystkim znana jest historia filmu Renonira „La grande illusion” („Towarzysze broni”), w którym bynajmniej nie aryjski przedsiębiorca w obawie przed cenzurą przebrał jednego z bohaterów — francuskiego oficera — Żyda, Rosenthala, w

Dwa końcowe rozdziały zawierają ogólne uwagi o poezji legjonowej — nie bawiając się w szkolarskie rozbiory i analizy w syntetycznym skrócie wyraża autorka swe uwagi o jej roli i ciężarze artystycznym. Dołączony do tomiku wybór wierszy zorientuje ciekawszego czytelnika dostatecznie w omawianych zagadnieniach.

Bardzo wartościowe, niekiedy świetne są „syntezy”, w których autorka resumuje swe uwagi nad poszczególnymi kwestjami.

I tak w rozdziale o kulturze umysłowej w kraju mówi autorka: „Polska... w pierwszych latach politycznej niewoli była wyrazicielką wolności ducha, myśli i głębi człowieczeństwa. Dzieła tych czasów przetrwały swych twórców i rzuciły między Polską a Europą zachodnią most szlachetnego porozumienia, które dokonywa się między ludźmi zawsze na szczytach kultury”.

Przejrzysty układ, prosty i sugestywny wykład, jasny, bezpatosowy styl, wszystko to wpływa dodatnio na wartość książki i czyni z niej dobrą i pożyteczną lekturę.

t. b.

neutralnego i nie nasuwającego żadnych podejrzeń Rothala, obawiał się bowiem, że film demonstrowałby sympatię do patriotów francuskiego — Żyda, mógłby się spotkać z wrogiem przyjęciem. Inny przykład, mniej może drastyczny, ale równie jaskrawy: w filmie Duviviera „Pepé le Moko” opowiada oficer policji, że przedmieście Algieru, Kasba, jest siedliskiem międzynarodowych szumowin: arabskich, murzyńskich, francuskich, słowiańskich... Napis polski przeczornie pominął Słowian, właściciel filmu nie był bowiem pewny, czy czynnik mianodajny nie uznałyby tłumaczenia dosłownego za dotkliwą obrazę uczuć narodowych... W ten sposób nasze środowisko filmowe coraz wyraźniej zaczyna się upodobniać do domu warjatów. Widok groźnie zmarszczonych brwi cenzora przyprawia importerów i producentów o dreszcz przerażenia. Ostatecznie, zaczynamy rozumieć, dlaczego wszyscy wolą dreptać wyszlizganym szlakiem banałów, niż puszcząć się na jakiekolwiek „eksperymenty”. Coraz oczywściej stajemy się świadkami zjawiska przerażającego: sojuszu cenzury filmowej z najbardziej bezczelnym, żerującym na ciemnocie tandeciarstwem. Praktyka cenzury filmowej stworzyła w Polsce jedyne w swoim rodzaju zjawisko: monopol bredni. Jeżeli film polski zawieszony jest w próżni, jeżeli znalazł się na marginesie aktualnej rzeczywistości, zdala od wszelkiej problematyki, jeżeli z taką zastraszającą bezmysłnością traktuje wszystkie sprawy ciekawe i ważne, to cenzura ponosi za ten stan rzeczy poważną część winy. Produkcja filmowa jest przemysłem, a przemysł buduje się na bazie kupieckiej rentowności. Zadaniem państwa jest zapewnić warunki rozwoju prawdziwej sztuce filmowej, nie zaś dławić inicjatywę, dusić w zarodku śmielsze zamierzenia i strzec tej najbardziej przyziemnej, wolnej od istotnych wartości funkcji kina. Jeżeli film ma być zdrową odżywką artystyczną, jeżeli ma być narzędziem w walce o wyższy poziom kulturalny mas, w takim razie rewizja metod działania cenzury staje się koniecznością.

Jerzy Bossak

Wiosenne porządki

(Na nutę starofrancuską)

Przysłaś do nas — a pokój w nieładzie,
Przysłaś do nas — a w pokoju ruch,
Lampa w szafie, a wino w szufladzie,
Stół pod ścianę rzucił psotny duch.

Kapelusze tańczą na suficie,
Krzesała biegała pijana z kąta w kąt,
Książki — ptasie rozpoczęły życie:
Skrzydła mają, niewiedomo skąd.

Ale ty się nie pogniewasz o to!
Wejźdź spokojnie i zamykaj drzwi:
Dziś robimy porządek, Liselotto,
Dziś robimy porządek, Lili!...

Przyjdiesz kiedyś — a tu świat w nieładzie,
Przyjdiesz kiedyś — a na świecie ruch,
Pusto w szafie i rwetes w szufladzie,
A nad ziemią niespokojny duch.

Lampa w niebie, gwiazdy na suficie,
Zgiełk krzykliwy każdy zajął kąt,
Ludzie nowe rozpoczęli życie —
Skrzydła mają niewiedomo skąd.

Ale ty się nie pogniewasz o to!
Wejźdź spokojnie i zamykaj drzwi:
Dziś robimy porządek, Liselotto,
Dziś robimy porządek, Lili!...

Leonid Fokszanski

Sprawa Stefanji Sempołowskiej

Głośna jest już w całej Polsce sprawa konfiskaty artykułu Haliny Górskiej p. t. „Nauczyciel życia”, zamieszczonego w nr. 29 „Sygnałów” z dnia 1. maja 1937 r. Konfiskata tego artykułu, omawiającego życie i działalność Stefanji Sempołowskiej, umotywowana została przez sąd okręgowy we Lwowie tem, że jest on „gloryfikacją osoby pod względem politycznym podejrzanej”. Przeciw temu orzeczeniu „Sygnały” wniosły sprzeciw. Dnia 12. października 1937 r. odbyła się rozprawa jawna, na której sąd okręgowy we Lwowie na wniosek adw. Wacława Szumańskiego powołał jako świadka b. ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego dla stwierdzenia faktu, że p. Stefanja Sempołowska posiada ogromne zasługi dla Polski i że została przedstawicielką Sowieckiego Czerwonego Krzyża na prośbę rządu polskiego i przez cały czas pełnienia tej funkcji pracowała lojalnie w porozumieniu z M. S. Z. Dokładne sprawozdanie z przebiegu procesu znajduje się w nr. 36 „Sygnałów” z dnia 1. XII. 1937. Dnia 31. marca b. r. odbył się w sądzie okręgowym we Lwowie dalszy ciąg rozprawy, na której zostały ujawnione zeznania b. ministra Augusta Zaleskiego oraz pismo ministerstwa sprawiedliwości:

PISMO MINISTERSTWA SPRAWIEDL.

„Ministerstwo Sprawiedliwości. Warszawa. Dn. 19 lutego 1938 r. Nr. N. P. 467/1938 r. Tajne. Do Sądu Okręgowego Wydział VI Karny we Lwowie. W odpowiedzi na pismo z dnia 14. stycznia 1938 r. nr. VI 1. Pr. 87/37, adresowane do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a następnie przesłane według właściwości, Ministerstwo Sprawiedliwości komunikuje, iż Stefanja Sempołowska opiekując się na terenie Rzeczypospolitej Polskiej więźniami, osadzonymi za działalność o charakterze przeciwpństwowym, działała od dnia 22. X. 1923 r. jako delegatka Sowieckiego Czerwonego Krzyża, na zasadzie upoważnienia, które w każdym roku wystawiało jej Ministerstwo Sprawiedliwości w związku z treścią umowy zawartej w Berlinie w dniu 6. września 1920 r. przez delegatów polskiego i sowieckiego Czerwonego Krzyża, a następnie zatwierdzonej przez Rząd Polski.

Ostatnie takie upoważnienie wydane zostało Sempołowskiej w dniu 6 lipca 1931 r. z ważnością do dnia 31 grudnia 1931 r. i prolongowane nie było.

Kierownik nadzoru prokuratorskiego (podpis nieczytelny) Prokurator Sądu Najwyższego“.

ZEZNANIA B. MINISTRA ZALESKIEGO

„Protokół przesłuchania świadka. Dnia 7. lutego 1938 r. w Warszawie. Sędzia śledczy XV rejonu Sądu Okręgowego w Warszawie z siedzibą w Warszawie w osobie sędziego as. Jerzy Szper w obecności stron adw. Wacława Szumańskiego przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania i o treści art. 106 k. p. k. oraz o znaczeniu przysięgi na zasadzie art. 107, 115 k. p. k., poczem świadek zeznał co następuje. Imię i nazwisko: August Zaleski. Wiek: lat 54. Imiona rodziców: Szczepny i Anna z Szydłowskich. Miejsce zamieszkania: Al. Ujazdowskie 17. Zajęcie: prezes Banku Handlowego w Warszawie. Wyznanie: rzymsko-katolickie. Karalność: niekarany. Stosunek do stron: obcy.

W sprawie opieki p. Sempołowskiej nad więźniami politycznymi wyjaśniam, że wiadomo mi, że p. Stefanja Sempołowska zajmuje się temi sprawami już od roku 1919 — na prośbę Ministerstwa Spraw Zagranicznych R. P. Początkowo miała się opiekować jeńcami wojennymi, nie przypominam sobie jednak, czy wówczas się już tego podjęła, natomiast pamiętam, że po zawarciu umowy w sprawie opieki nad więźniami politycznymi w obu krajach, zawartej między rządami Rzeczypospolitej Polskiej i Z. S. R. R. w Berlinie i potwierdzonej następnie w Traktacie Ryskim — p. Sempołowska z wiedzą i na prośbę Min. Spraw Zagranicznych została przedstawicielką Sowieckiego „Czerwonego Krzyża” w Polsce, zaś p. Pieszkowa, żona M. Gorkiego, została przedstawicielką Polskiego Czerwonego Krzyża w Z. S. R. R. — Przez cały czas mego urzędowania na stanowisku Ministra Spraw Zagranicznych, t. j. w okresie 1926—1932 r. współpraca między mną a p. Sempołowską w sprawach opieki nad więźniami politycznymi, skazanymi za działalność komunistyczną, a w szczególności w sprawach wymiany więźniów politycznych między Polską a Z. S. R. R. była jak najbliższa i najzupełniej lojalna. Wszelkie kroki czynione przez p. Sempołowską w interesie „Rosyjskiego Czerwonego Krzyża”, czynione były z wiedzą i zgodą władz rządowych. Tak n. p. wysokość i ilość zapomóg dla więźniów politycznych i sposób podziału tych zapomóg, pochodzących z funduszu Sowieckiego Czerwonego Krzyża omawiana była przez M. S. Z. z panią Sempołowską i następnie według tego porozumienia pieniądze te doreczane były przez Władze Wieziennicze. Wszystkie czynności te opierały się na zasadzie wzajemności, gdyż te same czynności wykonywała

w Z. S. R. R. p. Pieszkowa na rzecz Polaków, sowieckich więźniów politycznych. Czynności p. Sempołowskiej trwały w następnych latach, lecz o tym dalszym okresie nie mogę udzielić informacji, gdyż od listopada 1932 r. przestałem być członkiem Rządu R. P. — Działalność humanitarna p. Sempołowskiej na rzecz więźniów politycznych jest mi znana jeszcze z czasów przedwojennych, kiedy to p. Sempołowska opiekowała się więźniami politycznymi, skazanymi przez rząd rosyjski. Zznałem wszystko i nic więcej w sprawie niniejszej nie mam do dodania. Odczytano. August Zaleski. — Wacław Szumański, adwokat. — p. o. Sędzia Okręg. Śledczy Jerzy Szper“.

PRZEBIEG ROZPRAWY

Prokurator Krajewski prosi o dopuszczenie dowodów z aktów sędziego śledczego w Warszawie Mieczysława Kleinerta. Sędzia Kleinert prowadzi śledztwo w sprawie działalności wyrotowej Stefanji Sempołowskiej. Na dowód tego prokurator wnosi o dopuszczenie aktów s. o. s. rejonu XVI w Warszawie, sygn. 16 s. 33/37, w szczególności zaś zawartego w tych aktach postanowienia sędziego śledczego w przedmiocie wszczęcia śledztwa przeciw Stefanji Sempołowskiej o zbrodnię z art. 97 k. k. na okoliczność, że zarzucona Sempołowskiej działalność występna datuje się od r. 1933. Na stwierdzenie tej samej okoliczności prokurator wnosi o dopuszczenie dowodu z pisma sędziego śledczego w Warszawie Mieczysława Kleinerta, z dnia 17 listopada 1937 nr. 3253/33/37. Prokurator stwierdza, że śledztwo przeciw Stefanji Sempołowskiej zostało rozpoczęte w marcu 1937 r., zatem przed konfiskatą numeru „Sygnałów”, w którym była omawiana działalność Sempołowskiej.

Obrońca dr. Stanisław Dregiewicz sprzeciwia się dopuszczeniu tych dowodów, gdyż są to jedynie akta z nieukończonego śledztwa, nie mogą zatem stanowić o winie i prawdziwości zarzutów. Pismo sędziego śledczego Kleinerta jest jedynie wyciągiem z pewnych aktów i nie można stwierdzić, czy nie jest ono osobistym referatem, którego zgodności z aktami nie da się skontrolować.

Prokurator stwierdza, że to, co napisał sędzia Kleinert jest poza wszelką dyskusją. Chodziło przecież o dowód, że p. Sempołowska jest politycznie podejrzana, pismo sędziego Kleinerta i akta są właśnie takim dowodem.

Po naradzie sąd postanawia dopuścić dowód z pisma sędziego śledczego Mieczysława Kleinerta oraz niektóre pisma z aktów sygn. 16 s. 33/37. Wobec tego, że są one poufne, sąd postanawia na czas ich odczytania zarządzić tajność rozprawy.

Po przywróceniu jawności obrońca Dregiewicz oświadcza: Wobec zeznań świadka Zaleskiego, b. ministra spraw zagranicznych, który stwierdził, że działalność p. Sempołowskiej była najzupełniej lojalna, podjęta na prośbę i w porozumieniu z rządem polskim, i trwała w dalszym ciągu po ustąpieniu b. ministra Zaleskiego z rządu w r. 1932, proszę o powołanie jako świadka obecnego ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka. Minister Beck stwierdzi, że za jego zgodą i w porozumieniu z nim p. Stefanja Sempołowska działała jako przedstawicielka Sowieckiego Czerwonego Krzyża i opiekowała się więźniami do kwietnia 1937 r., t. j. do czasu zniesienia przedstawicielstwa Czerwonego Krzyża, sowieckiego w Polsce i polskiego w Z. S. R. R.

Prokurator prosi sąd o pominięcie wszystkich dowodów obrońcy. Lojalność p. Sempołowskiej wobec rządu odnosi się do dawnych jej czynów i nie ma obecnie żadnego znaczenia. Pozatem, proces nie toczy się przeciw p. Sempołowskiej, ale o konfiskatę artykułu, omawiającego jej działalność.

Sąd udaje się na naradę. Po naradzie przewodniczący oświadcza, że sąd postanowił wszystkie wnioski obrony umorzyć lub odrzucić, gdyż ujawnione wyniki śledztwa dają dostateczne podstawy do wydania wyroku. Sąd postanawia odrzucić sprzeciw wydawcy i redaktora „Sygnałów”, konfiskata jest bowiem w całości uzasadniona, gdyż wedle aktów Stefanja Sempołowska uchodzi za podejrzaną o działalność przeciwpństwową.

Wobec wyroku sądu okręgowego, dnia 6 kwietnia b. r. adwokat dr. Stanisław Dregiewicz wniósł w imieniu wydawcy i redaktora „Sygnałów” zażalenie do sądu apelacyjnego we Lwowie.

ARTYKUŁ M. NIEDZIAŁKOWSKIEGO

Wyrok sądu okręgowego w procesie „Sygnałów” wywołał ogromny odzew w całym kraju. Przebieg procesu omówiło wiele dzienników. W „Robotniku” z dnia 5. IV. Mieczysław Niedziałkowski w art. „Proces „Sygnałów”. Pani Stefanja Sempołowska” pisze m. inn.:

„P. prokurator Krajewski przeciwstawił jednak zeznaniom p. min. Zaleskiego pismo p. sędziego Mieczysława Kleinerta z Warszawy (p. Kleinert łączy, jak pisałiśmy niedawno, w jednej osobie funkcje sędziego do spraw szczególnej wagi i funkcje współkierownicze w takim „Instytucie

do naukowego badania komunizmu“), że oto p. Kleinert wszczął przeciw pani Sempołowskiej śledztwo z art. 97 kodeksu karnego (o zbrodnię stanu). Sąd dopuścił odczytanie pisma p. Kleinerta na posiedzeniu niejawnym, poczem konfiskatę „Sygnałów” zatwierdził.

Sprawa przejdzie, rzecz prosta, do apelacji. Wyrok nie jest prawomocny.

Mogę sobie to wszystko wytłumaczyć tylko jako jedno wielkie nieporozumienie. W przeciwnym razie... Nie chcę pisać, co w przeciwnym razie.

Rola i praca życiowa pani Stefanji Sempołowskiej są nam wszystkim, — nam wszystkim, od narodowych demokratów starszego pokolenia poprzez oficerów i żołnierzy I Brygady, poprzez więźniów P. O. W., aż do dwóch-trzech pokoleń P. P. S. — tak dobrze znana, że jeden tylko nasuwa się wniosek, będący w danym wypadku „okolicznością łagodzącą”... poniekąd:

widocznie pewni urzędnicy sądowi i urzędnicy nadzoru prokuratorskiego nie znają najnowszej historii polskiej.

Wyrosli w innej atmosferze. Nie zadali sobie trudu, by zaznajomić się z dziejami powstania Państwa, któremu dzisiaj chcą służyć, i stąd ta nieprawdopodobna historia lwowska. Wyobrażam sobie, jak ją oceniają tak mieszkoczenie liczni „klijenci” pani Stefanji Sempołowskiej z czasów zaburcznych.

Wszak jeżeli tak dalej pójdzie, to art. 97 kodeksu karnego obejmie i... pamięć Stefana Żeromskiego. Naprzykład: „Sen o szpadzie”... Proszę przeczytać uważnie... bez znajomości historii“.

LIST LEONA BERENSONA

W związku z tym artykułem znakomity obrońca Leon Berenson ogłosił „List do Redaktora Naczelnego” „Robotnika” („Robotnik”, 6. IV.):

„Drogi Panie Redaktorze!

Rzucenie na Stefanję Sempołowską oskarżenia o „zbrodnię stanu” wydało się Panu tak zdumiewające, że pohamował Pan w sobie całą stronę uczuciową, by ostrożnie skonkretyzować stanowisko w formule „wielkiego nieporozumienia” i „nieznajomości najnowszej historii Polski” przez pewne sfery urzędnicze.

Nie wiem, jak na „potępienie” działalności pani Stefanji Sempołowskiej zareagują żyjący jeszcze niedobitki-członkowie Sztabu Bojówki F. R. P. P. S., inni wielcy bojownicy, bezdańcy, — co o tem pomyślał Marszałek Senatu Prystor, Pani Ola, — i setki szeregowych bojowców, ich matki, żony i dzieci...

Nie wiem, co powiedziałyby, gdyby mogły, drewniane, pochylone krzyże na mogiłach skazańców naszych, co przyniosłoby nam poszum wiatrów syberyjskich, odgłosy z zakątków tundry dzikiej, — z jakim przerażeniem spojrzą oczy księży, robotników i chłopów, których dłoń Sempołowskiej ratowała, gdy po przewrocie bolszewickim i po wojnie polsko-rosyjskiej rwali się do kraju...

Ale jedno jest pewne: mały człowiek nie jest w stanie pojąć, że kobieta, — o wielkim sercu, o bezgranicznej miłości i poświęceniu dla cierpiących, w ciągu czterdziestu zgorą lat oddaje swe myśli, serce, uczucia, pracę, — jednej jedynej idei, — ulżeniu ciężkiemu losowi skazańca ideowego, niezależnie od jego wiary, programu i dążeń...

Ten mały człowieczek chciałby wyprać z duszy polskiej szlachetne, piękne uczucia, — wygnać poza nawias naszego życia czyste, wzniosłe zamierzenia, bo jest defetystą, nie wierzy w siły społeczne i narodowe, — wszędzie widać zło i cel poziomy, nie może ogarnąć czynu wszechludzkiego... I stąd nienawiść, nagonka, kalumnia, — podszept zdrajców, agentów, konfidentów, — a w rezultacie piękna, historyczna postać „Markizy” w pajęczynie nikczemnych plotek i donosów...

W opinii prawdziwej Polski nic jej to wszystko nie zaszkodzi... Uśmiechnięta, niewzruszona odpowie przed własnym sumieniem i przed trybunałem tych wielkich mas ludowych, co nie chcą, by Polska była jakąś kuźnią nienawiści, by trwoniła bogactwa serca zbiorowego i zamykała oczy na niedolę ludzką.

Łączę uścisk dłoni

Leon Berenson“.

Do tych wypowiedzi dołączył się B. W. Świecicki, redaktor naczelny „Kurjera Południowego” (1. IV.): „Te dwa głosy nie wymagają więcej komentarzy, lecz zastanawiają, jak się skończy sprawa o artykuł na tenże temat Haliny Górskiej w „Sygnałach”, a jeszcze bardziej, jaki będzie finał otwartej sprawy Stefanji Sempołowskiej.

Przecież to dwie pokrywające się sprawy godzą najoczywiściej w autorytet zaśluzgi dla sprawy polskiej. Jeśli są nieporozumienia, to je trzeba czem prędzej przekreślić“.

»Sygnały« są najtańszym pismem literackim w Polsce

BATERIE
bija
JASNOŚCIĄ,
TRWAŁOŚCIĄ,
WYDAJNOŚCIĄ,

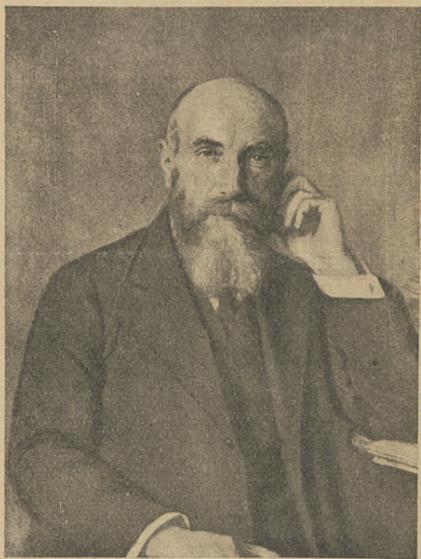


TRISTAN
ZARÓWKI

Lwowskie nagrody



Profesor Politechniki Lwowskiej Kazimierz Bartel otrzymał nagrodę matematyczną m. Lwowa.



Profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza Franciszek Bujak otrzymał nagrodę historyczną m. Lwowa.

PRZESTROGA

(z Heinego)

Takie książki śląc w podarku,
Będiesz, bracie mój, zgubiony.
By się dorwać do mamony,
Trzeba nisko ugiąć karku.

Nie doradzałbym w tych latach
Błądzić narodowym cechom,
Tudzież bruzdzić przeciw klechom
I żółć burzyć w potentatach.

Drogi druhu — po twej duszy!
Władcy mają łapy długie,
Długi język boże sługi,
Zaś nasz ludkę długie uszy.

MITOLOGJA

(z Heinego przekład frywolny)

Tak, Europa też uległa:
Wszystko wołom na żer idzie.
Przebaczamy Danaidzie,
Że pod złotym deszczem legła.

I Semele nie bez racji
Legła, myśląc: „Taka chmura,
Idealna boska chmura,
Warta jest kompromitacji“.

Ale Ledę winić będziemy,
Która, choć pięknego ciała,
Jaka gęsia być musiała,
Że parzyła się z ląbędziem.
St. J. Lec i J. K. Weintraub

Jeden dzień „Gazety Polskiej“

Nie czytuję „Gazety Polskiej“. Zamiast onegdajszych dziennikarzy endeckich, jak Smogorzewski, Kucharski i im podobni, wolę czytać endeków dzisiejszych. Przez hitleryzm zniweczone zostało uczucie wstydu. Endecy dzisiejsi nie mają już potrzeby wstydlwego ukrywania swych instynktów ludożerczych, nie owijają już swych marzeń w bawełnę. Natomiast dawniejsi pisarze endecy mają jeszcze pewne zahamowania, zmuszające do większej obfudy, kazuistycznych wykretów, głębszego zakłamania. Dlatego tylko od czasu do czasu wpadnie mi do ręki jakiś przypadkowy numer „Gazety“. Ostatnio przeczytałem numer z dnia 30 marca i wrażeniami swemi pragnę się podzielić z czytelnikami.

We wstępnym artykule p. S. zachęca mniejszości narodowe, by „wkroczyły na drogę ostrej walki o swe prawa i o stan posiadania, tworząc wspólny, zwarty front“. Piętnuje politykę rządu, „nacechowaną jakąś spekulacyjną lekkomyślnością oraz upartym niechęcieniem się z rzeczywistością“. Chwali „federację wolnych równouprawnionych narodów“. Potępia przedzierzanie się „państwa narodowościowego w państwo narodowe“. Stwierdza, że „nie jest do pomyslenia, aby móc dziś wzmówić w naród kulturalny, mający swój odrębny język, własną, piękną literaturę, najzupełniej odmienną psychikę i historję“, że jest tylko odmiana narodu panującego. Oburza się na „łumienie żywych przejawów i samodzielnego ruchu narodowego“. Słusznie mówi, że „im większy napór...co do nieuznawania odrębności...i praw tego narodu, tem silniej wzrastają tendencje odśrodkowe“.

Słyszę zdumione pytanie czytelników: Co to jest? Głoszenie zasady „samokreślenia“! Czyżby macki masonerii, żydokomuny i innych potworów sięgnęły już do Ozonu?!

Spieszę uspokoić czytelników: wszystkie wywody „Gazety“ odnoszą się do Czechosłowacji. Jest to namiętna obrona Słowaków Hlinki, Niemców Henleina, a nawet drobnej mniejszości węgierskiej, która przez dziesiątki lat poniewierała i brutalnie gnębiła Słowaków, którzy — okazuje się — teraz dopiero są tak „uciśnieni“ przez państwo, niepozabawione zapewne zarazy nacjonalistycznej, lecz bądźco bądź państwo demokratyczne o dużych wolnościach politycznych... Artykuł zatytułowany „Skutki zaślepienia“ oparty jest na „nadhodzących z Czech szczególnie niepokojących, a nawet groźnych wiadomościach“...

Tak samo zaniepokojona jest „Gazeta“ strajkami paryskimi. Oburzony jest zwłaszcza jej korespondent paryski spowodu pobicia jakiegoś robotnika przez rozentuzjzmowany tłum robotniczy, owacyjnie witający ekspedycję 52 wozów ciężarowych, załadowanych żywnością i ubraniami dla walczącego o swoją wolność i byt ludu hiszpańskiego. Robotnik — ciemny czy znikczemniały — został pobity, gdy protestował przeciwko tej pomocy dla ludu hiszpańskiego. Oburza też „Gazeta“ fakt oceniania jakoby przez ministerstwo komunikatu policyjnego o tym wypadku. Znowu mamy niespodziany wylew gorącej miłości do swobody prasy i oburzenia na gwałt...

Korespondent londyński wystawia świadectwo Chamberlain'owi, że „wie zawsze, czego chce“, że osiągnął rekord, „jakiego nie osiągnął żaden premier brytyjski po wojnie“. Jak widać z ostatnich wyborów w West Fullham, wyborcy angielscy nie podzielają zachwytów „Gazety“ dla „rekordowego“ premiera.

W „Przeglądzie prasy“ zalecony jest minister socjalistyczny belgijski Spaak jako wzór dla innych, gdyż jest „socjalistą, ale socjalista, któremu dyrektywy międzynarodówki ani partyjne doktrynerstwo nie przysłoniło jasnego spojrzenia na realny interes swego narodu“. Na pochwałę zasłużył p. Spaak za odstąpienie od polityki proligowej. Nie wątpi też „Gazeta“, że „zdrowe polskie oczy nie będą długo cierpieć okularów międzynarodowego doktrynerstwa“. Wszyscy natomiast uwierzą „Gazecie“, że demokracja parlamentarna „okazuje się fatalną i osłabiającą narody i państwa“...

Słuszne następnie robi „Gazeta“ — wślada za pokrewnym „Kurjerem Porannym“ — wyrzuty endekom, że są wciąż niezadowoleni, chociaż, jak sami przyznają, zarówno antysemitkie uchwały sejmu, jak i polityka antylogowa idą za przewodem endecji. Dlaczego więc tę politykę zwalczą, zapytuje „Gazeta“.

Następuje długi artykuł „Sprawa emigracji żydowskiej“, który zaleca książkę jakiegoś pana Ziemińskiego. Uczony ten mąż całkiem mimochodem uczynił wiekopomne odkrycie naukowe, podług którego Żydzi czasów biblijnych wcale rolnictwem się nie zajmowali, ziemię uprawiały podobnie przez Żydów narody! Okazuje się też, że już za czasów imperium rzymskiego istniały banki i Żydzi byli bankierami. Sens moralny uczonych odkryć jest ten, że „problem emigracji żydowskiej z Polski jest zagadnieniem międzynarodowym“...

Na zakończenie numeru wniosek z „Sytuacji gospodarczej świata“ jest taki. Że „eksperyment frontu ludowego we Francji dał rezultaty oplakane“ (w przeciwieństwie zapewne do wspaniałych rezultatów frontu endecko-sanacyjnego...), że tylko „grupa polityków i prowodyrów jest zadowolona“, że pracodawcy są naskutek strajków i podwyżki kosztów robocizny „na drodze do ruiny“, że „swobody republikańskie doprowadziły do tak ponurego nieladu“, że wreszcie Francja „toczy się po równi pochylej“...

Taki jest plon jednego przypadkowego numeru naczelnego organu ozonowego.

A. Jakubowski

Przypomnienia

W obronie Żydów.

W obronie prawa i wolności, należałoby raczej powiedzieć; ale gdyby ludzie to rozumieli, cała ta zła sprawa nie istniałaby i moja mowa byłaby niepotrzebna.

Dawniej palono na stosie Żydów i heretyków, lecz z fanatyzmu religijnego; były to czyny tak nieludzkie, że nie można ich osądzać ludzką miarą. Zamordowanych ograbiano; tłuszczy ofiary bowiem był zawsze wynagrodzeniem za czynności kapłańskie. Ale teraz, gdy nawet najnikczemniejszy obłudnik nie śmie twierdzić, iż przesładuje Żydów spowodu ich wiary, — czemu teraz złośliwość będzie upiększona? Kiedyś rozumowano, że skoro Żydzi i tak do nieba nie pójdą, to i z ziemi ich wolno wypychać; ale teraz, gdy już nikt im nieba nie zazdrości, dlaczego wciąż jeszcze mają być gnębieni na ziemi?

Przeciw Żydom postępuje się z najbardziej wstydną obłudą; kłamliwe twierdzenia utrzymywane są z takim tupetem, że nawet ludzie uczciwi dają się zwieść, nie przypuszczają bowiem, że tak ordynarne oszustwa są wogóle możliwe.

Rządzący nami... woleliby, żebyśmy nie poruszali tych drażliwych spraw. Wydaje im się, że najlepiej będzie, gdy pociemku nieprzyjaciele wzajemnie się nie widzą i muszą siedzieć cicho. A przecież lepiej będzie, gdy w nocy tej zajaśnieje płomień prawdy, aniżeli płomień pożaru.

Naród oświecony zrozumie wreszcie, że czynił źle i to nawet nie dla własnej korzyści; że to, co w sposób niemoralny uzyskał, zostało mu odebrane przez arystokrację. Zrozumie wtedy, że naumyślnie popchnięto go do tak marnego użycia swej wolności, ażeby potem móc powiedzieć, iż taki naród na wolność wcale nie zasługuje; że zrobiono z niego więziennego dozorcę Żydów, a to z tego powodu, że dozorca, tak samo jak i więzień, więzienia opuścić nie może. Jedne drzwi mniej czy więcej, cóż to za różnica: przecież niewolni są obydwa.

Ci, na których chciałbym wpłynąć, to nie myśliciele. Ich pogarda i nienawiść do Żydów, to popęd wrodzony, spotegowany przez wychowanie, który nigdy nie dotarł do światła i nigdy nie zastanawiał się nad sobą.

Sprawa żydowska musi być ujęta nie uczuciowo, lecz rozumowo, a wówczas dopiero dobro zwycięży.

Nie wolno poświęcić tysiąca ludzi, aby stworzyć znośniejsze warunki dla dziesięciu tysięcy, albo właściwie, aby ułatwić im pracę... Łatwo wam dowiedzieć, że handel kupców chrześcijańskich zyska, jeżeli żydowski handel zostanie ograniczony; ale czegożcie w ten sposób dowiedli? Waszą korzyść, nie wasze prawo. „Fiat iustitia, pereat mundus“, sami tak mówicie, ile razy to dla was jest wygodne; jednak, kiedy to dla was nie jest wygodne, mówicie: „Vivat mundus, pereat iustitia!“.

Nie dlatego kocham chrześcijanina lub Żyda, że to Żyd lub chrześcijanin. Kocham ich, bo są ludźmi i urodzeni dla wolności. Wolność niech będzie duszą mego pióra, aż pióro się stępi albo reka uschnie...

(Fragmenty z rozprawy Ludwiga Boerne: „W obronie Żydów“, napisanej w roku 1819. Z niemieckiego przełożył. Vindob).



Dwaj poeci rys. Fr. Parecki

KORRESPONDENCJA

KSIADZ PRAŁAT MASONEM

Do redaktora „Sygnałów“

W związku z artykułem świetnego pisarza Emila Zegadłowicza p. t. „Stary, poczciwy Chodźko“, zamieszczonym w nr. 42 „Sygnałów“ z dnia 1. IV. b. r. pragnę wyjaśnić, że autorem wspomnianej tam broszury był znany działacz masonowski, ksiądz prałat Michał Dłuski, mistrz loży wileńskiej „Gorliwy Litwin“.

Dzieje wolnomularstwa polskiego, które odegrało tak wybitną rolę u schyłku wieku XVIII oraz na początku wieku XIX, należałoby oświetlić choćby w krótkim zarysie. Można stwierdzić niewątpliwie fakt przynależności do wolnomularstwa wszystkich najwybitniejszych przedstawicieli nauki, literatury i najzasłużeńszych działaczy politycznych, którzy stanowią chlubę kultury polskiej. O niewątpliwym wpływie pozytywnym wolnomularstwa świadczą badania historyków, w szczególności przedwojenne badania prof. Askenazego oraz dwie poważne publikacje naukowe Stanisława Małachowskiego-Lempickiego „Wolnomularstwo na ziemiach dawnego W. Ks. Litewskiego 1776—1822“ (wyd. Towarzystwa Nauk w Wilnie, 1930) i „Wykaz polskich łóż wolnomularskich w latach 1738—1821“ (tom II serji 2 Archiwum Komisji Historycznej Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków, 1930).

Michał Szulkin (Warszawa)

LIST CZYTELNIKA

Do redaktora „Sygnałów“

Proszę uprzejmie o wysyłkę „Sygnałów“ od 1 kwietnia r. b. Wpłaty wysył wkrótce. Do tego czasu kupowałem „Sygnały“ w kioskach, lecz mi to sprawia nieraz trudności, a po drugie chcę należeć do stałych prenumeratorów i otrzymywać pismo do domu. Jestem kowalem, lecz po ciężkiej i żmudnej pracy przy świetle lampy uczyć się, aby iść naprzód, i muszę przyznać, że z wielu pism, które czytam, „Sygnały“ budzą tę tytaniczną siłę do przetrwania tej burzy, która szaleje. Toteż życzę „Sygnałom“ w tej trudnej i żmudnej pracy nieustawiana aż do zwycięstwa,

Stefan Grabowski (Łódź)

* * *

A. A. Warszawa. Ogłoszenie wyników konkursu poetyckiego w najbliższym numerze.

Ż. K. Warszawa. Wszystkie wiersze są czytane przez członków jury, stąd opóźnienie w ogłoszeniu wyników konkursu.

L. M. Fr. Warszawa. Książki nadesłane oddaliśmy recenzentowi. Za miłe słowa dziękujemy.

Piotr K. Lwów. Prosimy o porozumienie się z redakcją.

M. Brz. Łódź. Wierszy, które nadają się do druku, nie możemy drukować ze względów od nas niezależnych.

Jotes. Jasło. Artykuł porusza sprawy ogólnie znane i nie daje nowego ujęcia. Poza to nie jest przejrzysty.

Z. Z. Warszawa. Podobny temat porusza artykuł L. Kruczkowskiego w dzisiejszym numerze. Prosimy o pamięć.

BOHDAN IGOR ANTONYJCZ

Fragment z »Elegji o drzwiach śpiewających«

Drzwi śpiewające, jawor siwy i malowany stary próg.

W duszy zostały mi jak żywe miejsca z dziecięcych moich dróg, tak pamięć dziecka przechowała obraz przyćmiony tamtych dni, i ot, zmierzona przestrzeń cała tej właśnie pieśni, co tu drży, którą tu wzrusza się i marzy już bez zbytecznych prawie łez i wspomnień kreśli tu pejzaże. I chciałbym znowu dzisiaj przez burzę i śmiechy chłopca kroczyć. I szybciej krąży w żyłach krew i szczęściem błyszczą chmurne oczy i pióro lżejsze, czystszy śpiew.

W kędziory poskręcane trawy, czerwony kamień w rzeźnym dnie. Smolista noc i dzień smagławy jak twarz cyganki zmienia się. Do dziewcząt chłopcy — jak potoki bystre rozmiany wiodą krok, gdy ku dolinom rwą głębokim, które otoczył cichy mrok; gdzie z kwiatów mocny bije zapach, jak z barwnych fajek wonny dym. Gdzie drżą jałowce w wiatru łapach, jakby coś cicho szeptać im, gdzie wdół ściekają krople szumu, jak ścieka smoła z ciepłych pni. Tam pod zielenią i zadumą jeleń ze źródła wodę pił. Kwitnące słońce śpi w krynicy, a mech wysięcia studni spód, stąd gorejące, w tajemnicy wychodzi rankiem z głębi wód. Oddycha puszcza snem kudłata, pradawne echo huknie gdzieś. Na sklonie gór, jak wszyta łąta, w lasach ogromna legła wieść.

Karczma świecami w noc wyblęśla, jakby rodzący gwiazdy pęk. Wódka szle dymy przeźrocyste, brzmi zardzewiałych kluczy jęk. Ognistym smyczkiem tną cyganie i potoczyście huczy bas. Muzyka piecze, głos pijany i struny brzęczą razporaz. Na flecie tańczy palców dziesięć, w muzyczne drzewo płomień wniki. I z bębna się jak z dzbanów niesie gorący, wirujący krzyk. Goreją skrzypki, to znow wędną, serce pijane rytmem bębna. I o opryskach setny raz gada, powiada, głosi bas: Święcone kule, pasy lite, barć dzika, ziół tajemna treść, noc czarów, w ziołach jady skryte, na miłość czart je warzy gdzieś. Księżyc jak tenor rozmarzony muzyczną strugą w noc się wbił. Dziewczyna w tańcu jak wrzeczono kołem spódnicy wznosi pył.

przełożył Tadeusz Hollender

(Z przygotowanej do druku antologii poezji ukraińskiej).

ATENEUM CZASOPISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KULTURY

pod redakcją STEFANA NAPIERSKIEGO
ukazuje się w Warszawie sześć razy do roku.
Prenumerata roczna zł 12.50,
numer pojedynczy zł 2.50
Redakcja i administracja: Słoneczna 50 m. 34,
konto P. K. O. 16691